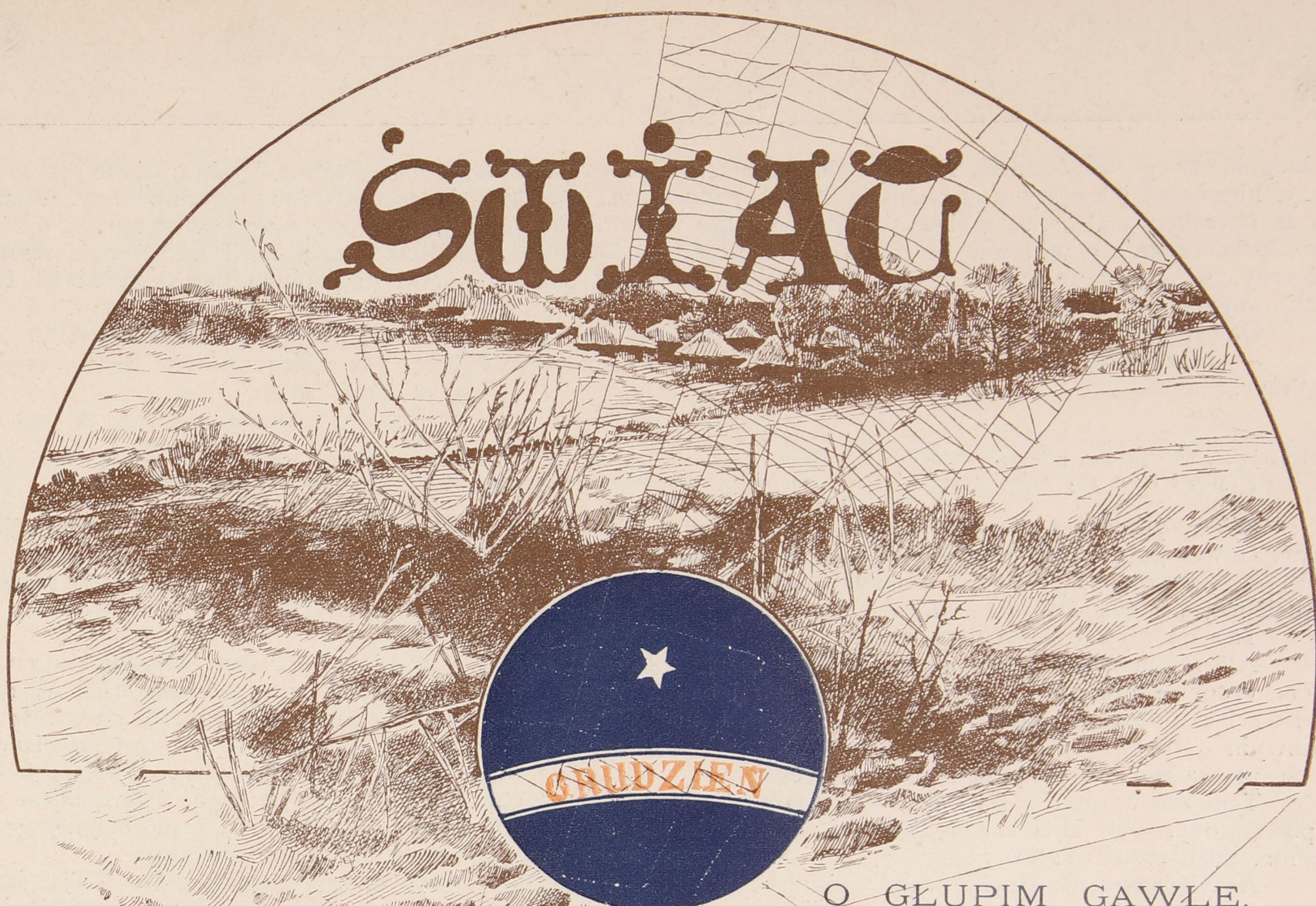




## O GŁUPIM GAWŁE.

KLECHDA NIEMĄDRA.

(Ciąg dalszy).



Zima następuje tęga, — póki głowy  
[sięga.

Postaraj się o barana — a chwał Nie-  
[bieskiego Pana.



Św. Barbara po lodzie, Boże Narodze-  
[nie po wodzie.



Gdy w św. Barbarę ostre mrozy, to  
[na zimę gotuj wozy;

A gdy roztajanie, każ opatrzyć sanie.



Święta Łuca dnia przyrzuca.



— Jestem deklamatozem, o! i nie chwaląc się, bardzo wziętym. Właśnie przygotowałem utwór, wyłącznie dla mnie napisany przez pewnego poczynającego poetę, którego proteguję. Bliżej rzecz określając, jestto ballada o dwóch niezgodnych przyjaciółach, z których każdy życzył sobie zostać prezesem czegośkolwiek, ale pod warunkiem, żeby drugi żadnym prezesem nie był. To się zrobić nie dało, i z tego powstała pomieniona poezya. Jeden z nich był pachciarzem w dobrach pewnego obywatela, z którym się potem pomieniał w ten sposób, że zatrzymał przy sobie jego dobra (z niejaką dopłatą), a tamten z jego rekomendacji został konduktorem na tramwaju, gdzie nie zawsze zdawał resztę, ale bo mu też dużo wytrącano. Drugi zaś, będąc służącym u pewnego doktora (choć nie przeto sam doktorem został), pobierał po trzy ruble za wpuszczenie chorych, podczas kiedy jego panu za poradę płacono tylko rubla. Z tego urosła czteropiętrowa kamienica, z wyasfaltowanym dziedzińczykiem i wirydarium w pośrodku, z pewnemi zaś dogodnościami w klombach ogrodu publicznego, do którego nie tak było daleko. Otóż ci dwaj panowie, skoro im posłę program poranku, dają panu najświętsze moje słowo honoru, wezmą po sto biletów, bylebym tylko tej rzeczy o nich nie deklamował. Cóż pan mówi na to?

— Mówię to, że pan się bezemnie obędziesz. Ja do tego należeć nie myślę.

Tamten odskoczył parę kroków załamując ręce.

— Panie, czyżbyś się pan dopuścił czegoś podobnego? Człowiek używający chwilowo takiego rozgłosu! Ależ to sposobność, jaka się może więcej nie powtórzy. Nie zechcesz mi pan przecie zrobić zawodu?

— Więc to właściwie o pańską korzyść chodzi?

— Przypuszczę pana do części zysków.

Gawęł gotów był choćby pięścią od niego się opędzić, co tamten widząc:

— Panie — rzekł wtedy obcesowo — nie bądźże nieużyty sknerą. Zmuszasz mnie do tego, że poniżę



się, blagając twego współczucia. Niegdyś tłómaczyłem z francuskiego angielskie powieści, i gdyby nie te przeklęte bazary, kiermasze i kwesty z okazałością swoich naddatków... Krótko mówiąc, jestem w długach po uszy. Winienem za mieszkanie, ale o to mniejsza. Przecież także nie wiele się należy, bo szczerze wyznam panu, że oprócz gorsu, kołnierzyka i mankietów które widać, to co nie jest widoczne, do zbytku zaliczam. Taka już moja zasada. Otóż tedy, winienem za kilkadziesiąt, może i więcej, partyj bilardu na górze i przytem dorożkarzowi Nr 121 (gracko zmiata) coś około...

Gaweł nie dał mu dokończyć i ponieważ inaczej pozbyć go się nie mógł, sam się z domu wydalili.

— Niech was licho porwie — rzekł skwaszony — społeczeństwo to, jak widzę, złożone jest z samych wyjątków!

#### ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gaweł udaje się na odwrotną półkulę. — Kto i komu język pokazał? — Gole narody i jakie są powody ich golizny? — Czy Gaweł mógł się zgodzić na to aby wojnę stoczono? oraz o tem, jak to nieraz bieg dziejów tego świata od urwanego guzika zależnym bywa.

Więc, jak już wyżej powiedziałem, częścią dla zmiany wrażeń, a częścią także dla wzbogacenia sobie wiedzy, Gaweł powziął niezłomne postanowienie udania się na drugą półkulę.

— Ztamtąd przynajmniej ziemi nie widać, więc i pokusa małpowania jej o tyle mniejsza, ludzie pewnie samodzielniejsi, a życie o wiele więcej księżycowe.

Tak on myśląc, idzie tedy, idzie...

Ale zanim za krawędź zaszedł, spojrzał raz jeszcze w stronę swej rodzinnej planety. Wyglądała zmarszczona czegoś gniewnie, i dużo podobna do starej baby. Wydało mu się nawet, że mu język pokazała. W rzeczywistości zaś ujrzał wypadkiem Turcyę, w chwili kiedy dawała do oglądania język nie jemu, tylko lekarzom troskliwym o zdrowie chorego człowieka. Ale że Gaweł w politykę się nie wdawał, a za to miał mniemanie o sobie przesadne nieco, przeto obelgę ową czempredzej do siebie wzięwszy, co tchu poza krawędź się zapuścił.

Tam zaś w obawie żeby go na granicy o paszport nie spytano, wziął gałkę w gębę i przemykał się nie postrzeżony. Ale zbyt czułym się to okazało. Celnicy snadź nic nie mając do roboty, najspokojniej grali w winta, pijąc przeszwarcowaną przez siebie wódkę i paląc tą samą drogą przemycone papierosy.

A tymczasem co chwila przechodziły tłumy jakichś jegomości, uprzejmie ich pozdrawiając. Objaśniono go, że to byli panowie »pobytowi«, zmieniający pole swej działalności, z przyczyny posuchy na jakąkolwiek cudzą z tamtej strony własność.

Na uboczu stał w ruinie opuszczony pałacyk zamożnego niegdyś passera, — w czystym stylu dworców kolejowych, otoczony sztachetami z szyn i parkanem z podkładów. Posiadał nawet salon, podobny do wagonu pierwszej klasy, tak dalece był aksamitny i tak dalece czerwony. W nim dystygowanych tylko przyjmowano klientów, takich zwłaszcza, co naszyjniki znosili, kolczyki, brosze, a wreszcie choćby zegarki. Ale te czasy dawno już minęły. Właściciel chcąc się ratować, próżno nawet lombard założył, nikt już nie miał nic do zastawienia.

Idzie Gaweł dalej, idzie i idzie...

Ale do licha! co gdzie spojrzy, wszędzie sami ludzie goli, ale to goli jak ich Pan Bóg stworzył, i każdy łapę sobie liże.

— O ludzie! — tak im Gaweł powiada — czemuż to grzeszną nagość waszą w tak pierwotnej oglądam postaci i co sprawia, że macie żołądki tak wklęsłe?

A oni na to:

— Niestety! odziać się nie mamy czem. Wszystko poszło na przystrojenie obrońców granic, bo przecie bać się trzeba wroga. A to zaś żeśmy głodni, pochodzi z tego, że nam wszystko na rachunek przyszłych zwycięstw z góry już zjedzono. Do diabła, gdzie te czasy, kiedyśmy o tem tylko rozmyślali jakby tu zjeść i wypić smaczny jaki jubileusz, urządzony w sposób składkowy, jak przystało na uzdolnione do robienia spółek społecznych. Wspomnienie chwil tych błogich starczyć nam dziś musi za przednówek pod hasłem »jakoś to będzie«.

Gaweł westchnął przejęty współczuciem. On wspomniawszy sobie jak to rzewnie na uczczeniach podobnych bywało. Kiedy już korki w sufit jak należy wypłoszono, wstawał przewodniczący i drżącym głosem »kochajmy się« wznosił. W owej chwili skromny datek zbierano na rzecz takich, którzy dopiero rozpoczynać mieli zasługę, a to aby za drzwiami nie gadano, że wół zapomina kiedy był cielęciem. Czyż to raz tak było. I nie raz jeden i nie dwa, ale owszem bardzo dużo razy.

Tymczasem zaś z ogoleniem owem ludności miejscowej oto jak się rzecz istotnie miała.

Król Kukuryku graniczył tam o miedzę z królem Terefere. Mieli po sto tysięcy wojska i dobrze się działo. Ale jak zaczął jeden drugiego przesadzać, tak doszli do tego, że każdy miał po dwa miliony. Wtedy stała się rzecz osobliwa. Sąsiad sąsiadowi zarzucił czarne nadużycie.

— Jakto? Taka liczba, rozpierająca pomiędzy nami granicę? (Każdemu już ciasno być zaczynało). Ależ miły sąsiedzie! wojny się chyba waszmości zachciewa. A więc kiedy tak, to się bijmy dla jej uniknięcia. Sam sobie winę przypisz i odpowiedzialność za jej skutki.

Słowem, że zgody się wyrzekając zgodnie na jedno się zmówili.

W rzeczywistości zaś tak było, że poddani królestwa Terefere nie chcąc dobrowolnie być mężnymi, niemal co do nogi wynieśli się do państwa Kukuryku; z tamtąd zaś, z tegoż powodu tłumy całe uciekły do Terefere. W takich warunkach zawziętość wojny tem namiętniej rozgorzała...

— O! za pozwoleniem — powiada na to Gaweł — toćże ja tu z waszej przyczyny głodną śmiercią zginę. Na to przecie zgodzić się nie mogę.

Więc przedsięwziął czynnie wdać się w tę sprawę, i tu dopiero — proszę się przypatrzeć — jak to nieraz od lada podrzędnej rzeczy losy narodów całych zależne bywają! Przedsięwziął czynnie wdać się w tę sprawę, i jak myślicie, cóż uczynił? Oto kiedy stanęły przeciw sobie oba groźne zastępy, on nie mając powodu trzymać raczej z tym niż z tamtym, porucił wybór ślepemu zrządzeniu. Jakoż ujawszy w dwa palce guzik (mniejsza



o to od jakiego ubrania), jedną jego stronę nazwał Terefere, drugą Kukuryku, poczem rzucił go w górę i z jego upadnięcia tak wynikło, że to Kukurykanie mają być pobici.

Tak jest, od niego to zależało, a raczej od jego guzika (mniejsza z jakiej części ubrania), a raczej od omackiem chodzącego trafu a może nawet (choć za to zaręczyć trudno) od bezwiednego działania nieistniejącej (jak wiadomo) najwyższej istoty.

## ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Szczególniejsze skutki wdania się Gawła pomiędzy dwa walczące zastępy. — Co on wybrał w nagrodę za swoje pośrednictwo i jak chcąc posiąść posadę, dostał dostojęństwo.

Trzeba zaś wiedzieć, jest tam takie urządzenie, że cobądź zrobi wódz naczelny, to zaraz siła zbrojna w ślad za nim najdokładniej powtarza.

Gaweł więc gałkę swoją w gębę włożywszy, podszedł zdradziecko ku wodzowi króla Kukuryku i właśnie w chwili, kiedy tenże jednym swym szablą zamachem świetnie spełnić miał zwycięstwo, on z całej siły poderwał mu nogi. Wtedy, o zgrozo! — czy uwierzycie co się stało? Oto bohater (zaiste lepszego losu godzien!) równie sromotnie jak niespodzianie padł nosem w ziemię, szabla zaś jego równie dziwnie jak szpetnie rozbrat wzięła z dłonią, co ujrawszy całe dwa miliony karnych Kukurykanów, położyły się jak długie, i dwa miliony orężów dzielnych wyleciało z dwóch milionów niezłomnych prawic, i z dwóch milionów ust zdobnych w groźne wasy wydobył się głos błagający o dwa miliony przebaczeń.

Dosyć ci tedy, że nie pozostało już, jak wziąć wszystkich do niewoli.

Ale tu właśnie sęk. Jakże do diabła żywić tylu darmozjadów? Powiadają im wspaniale: — Idźcie sobie do domu — a oni za nic nie chcą, bo właśnie wszystko już u siebie zjedli.

Musiano im nową wojnę wydać, i ta skończyła się z jednej i z drugiej strony, nie żadną ucieczką broń Boże, ale tak zwanem przez nich oględnie, cofnięciem się w porządku.

Nazajutrz słyszy Gaweł głos donośny bardzo strojnego herolda:

— Ten, który dnia wczorajszego tak świetnie zapewnił nam zwycięstwo, niech się nie sroma publicznie objawić kim jest, a w nagrodę niezwykłego król Terefere, bez wahania ożeni go z jedną ze swych kochanek!

— Nie było żadnego zwycięstwa! — zawołał na to popędliwie herold strony przeciwnej (niemniej strojny). — Słuchajcie ludy! Ten, który wczoraj w tak szlachetny sposób cudzym kosztem nas pożywił, niech się śmiało przedstawi w namacalnej swej postaci, a wnet niezwalczony mocarz Kukuryku da mu własną córkę za żonę!

Gaweł począł rozmyślać.

Cudza kochanka przypomniła mu Żolkę, z którą także miał się żenić, ale dał temu pokój z przyczyny... Nie, to właściwie ona nie chciała, z przyczyny... Ale już mniejsza o nią, z przyczyny... No, bo jednym słowem co królewna, to królewna. Taka stosunki ma, zaproteguje Gawła i posadę mu jaką wyrobi. Już on od pewnego czasu mocno sobie tego życzył. Człek skołatany chętnieby w przystani odpoczął. Posadzono by go za jakim biurkiem i on by siedział, albo to święci garnki lepiał! Na interesantów z góryby spoglądał, i *Kuryerka* czytał; ma się rozumieć, o ileby sobie nożykiem paznogi nie czyścił. To mu się bardzo uśmiechało.

Tedy nie bawiąc dłużej, wyjął z ust gałkę i rzekł heroldowi:

— Prowadź mnie do twego króla.

Tamten zmierzył go od stóp do głowy:

— Więcej poufałości niż znajomości. Naprzód czyś waspan aby szlachcic?

Gaweł odchrząknął:

— Jestem wnukiem czarnoksiężnika.

Na to mniej grzecznie wtrącił swe trzy grosze trefniś króla Terefere:

— Kto jest twym ojcem? — spytano raz osła.

— Koń — rzecze — moim jest stryjem.

Ale herold nie zważając na to badał dalej:

— Kto tedy właściwie waspana rodzi?

Gaweł się zakrztusił.

— Moja matka... moja matka... — wyjąkał — jeździła nie jedną karetą.

Na szczęście nie pytano o więcej, bowiem w te pędy Tereferczycy zgrzytając odeszli z niczem.

— A teraz — rzekł Gaweł butnie — prowadź mnie asan do ołtarza.

— Co znowu? — odparł tamten — cóż to? Czy to Bartek z Kaśką się żeni? Hola! mój panie. Naprzód, zyskaj urząd jaki odpowiedni, a potem rozpocznieś staranie.

— O posadę? — spytał Gaweł powściągliwie.

— O rękę panny! — odpowiedział na to chór astrologów (nie wróżący nic dobrego, jak się to wprędce pokaże).

No, ale już nie czas było się cofnąć. Cóż robić? Kość rzucona. Gaweł poddał się konieczności.

Tedy na znak powagi herold możnego króla machnął laską w kierunku grzbietów zgromadzonego ludu (ten się cały uklonił). Poczem niezwłocznie już udali się oba na zamek stołeczny.

Tam wytrzymało Gawła czas przyzwoity w przedpokoju »trzech łask przygotowawczych«, następnie przeprowadzono go przez galeryę »ośmiu ściśle rozważonych możebności« do wspaniałej komnaty zwanej salą »trzynastego biesiadnika«, zkad wprost już było wejście do gabinetu »siedmnastu uszczęśliwień«.

Ale Gawła tam nie dopuszczono. Owszem, w biesiadnej sali został, cóż kiedy jako nadkompletny! Wprawdzie nie na długo, gdyż niebawem wszedł tam hetman, i podprowadziwszy go ku oknu (widok był z tamtąd na dziedziniec, na którym stało w milczeniu dwa miliony cofniętych w porządku Kukurykanów), zagnała spytał Gawła:



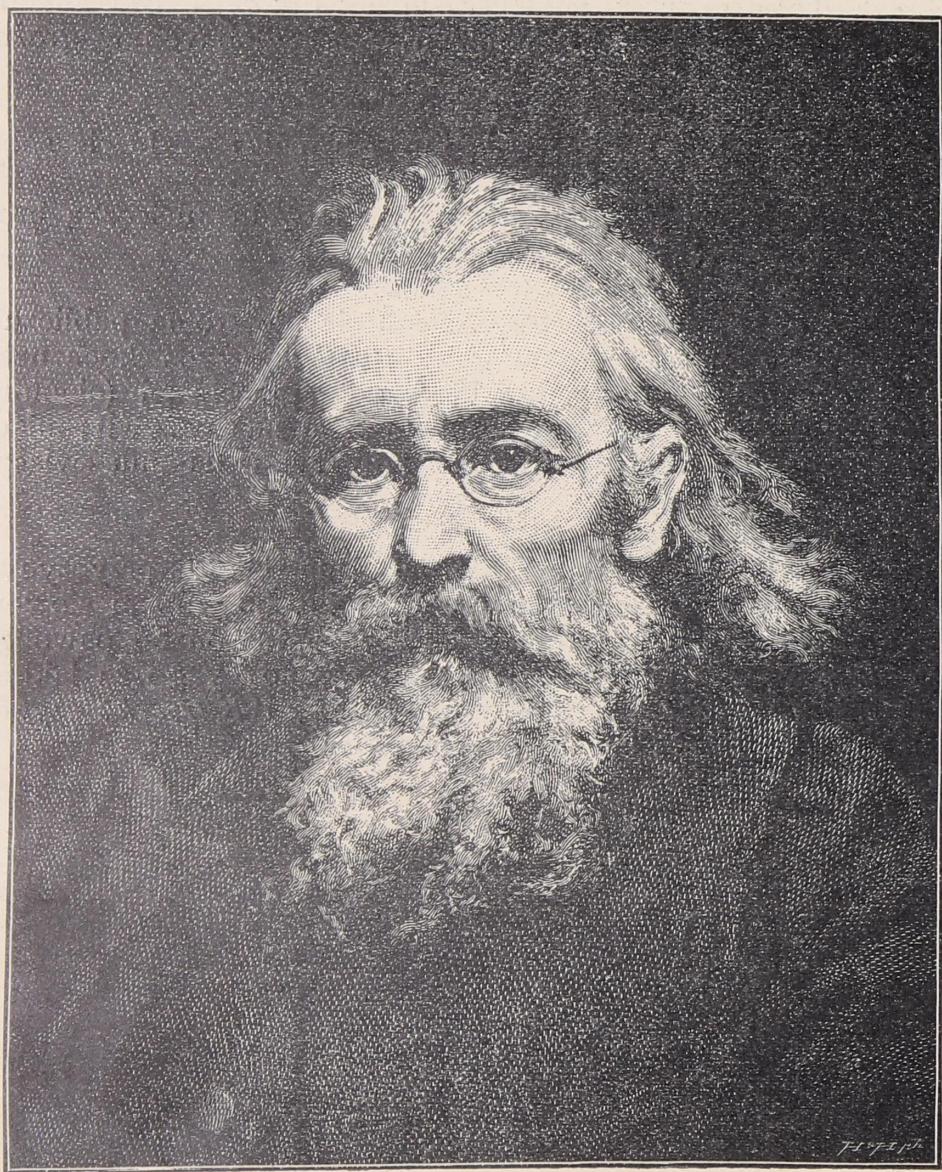
- Jakże się panu wojsko nasze podoba?
  - Niczego — rzekł Gawęł — ale braknie mu artylerii.
  - Kiedy nie wiemy jak się robią armaty.
  - Poprostu bierze się dziurę, oblewa się ją mosiądzem, i już jest armata.
- To gdy Gawęł wygłosił, natychmiast z woli króla udzielono mu godność Wielkiego Leśnika.

## ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gawęł zawiera znajomość z Wielkim Podpowiadaczem potężnego władcy Kukuryku. — Smutne dzieje tego ugrzecznionego człowieka, których Gawęł słucha, mając sam być przez króla słuchanym, do czego jednak nie przyszło.

Wtedy herold nie zwlekając dłużej, krzyknął przez okno:  
— Hej! mości Jeden z drugim! z rozkazu króla, proszę tu!

JAN MATEJKO.



WEDŁUG WŁASNEGO PORTRETU MISTRZA.

wojująca trucizną, sztyletem, sardonicznymi śmiechy... o! co ja przeszedłem! (skrzywił się boleśnie). Krótko mówiąc, podstawili mi nogę koledzy, nawet koleżanki. Reżyser ufać mi nie chciał, dyrektor miał mię za bajbardzo, drzwi prezesa były dla mnie zawsze zamknięte. A jednak, ja panie umiałem jak i drudzy role przerzucać lub wzięte odsyłać, na próby się spóźniać lub nie przychodzić, także zachorować kiedy mi się podobało, i w ogóle gdyby nie dopłaty od występów, zdrowie mieć mogłem częściej jeszcze niż drudzy zachwiane. Ostatecznie (tu uśmiechnął się z goryczą) cóż pan powie na to, suflerem zostałem... (W istocie miał nawet grzbiet zgięty, jakby ciągle jeszcze w melonie siedział, ale może to i od ukłonów, do których zmuszały go życia gorycze). Tak panie, suflerem... A jednak daleki jestem od złorzeczenia niezbadanym jeszcze przez chemię i przez fizykę wyrokom, bo mi one zdarzyły posadę podpowiadacza polityki wielkiego króla. — Tu się z godnością wyprostował. — Z tych powodów uważałem za stosowne zataić nawet przeznaczone w innym kierunku do rozgłosu nazwisko, i oto czemu, jak pan widzi, wołają tu na mnie poprosto: Jeden z drugim. — Pomyślał przez chwilę. — Serdecznie się cieszę, że tak pojętnego jak pan geniusza miał sposobność spotkać na ciernistej mojej drodze! Ośmielałem się mieć błogą nadzieję, że w tych lasach, które jego inteligentnej pieczy powierzono, dostojna pańska osoba nie ulegnie zdżiczeniu. Tak, tak, śmiem sobie pochlebiać. Bardzo mi przyjemnie. Sługa pański uniżony. Proszę mną rozporządzać jakby swoim sprzętem.

Gawęł był pewny, że na to wezwanie wejdzie co najmniej dwóch ludzi, tymczasem wszedł tylko jeden, ale za to za dwóch ugrzeczniony. Był mistrzem ceremonii, dość powiedzieć. Ukłonił się hetmanowi, ukłonił się heroldowi, skłonił głową na wszelki wypadek tu i owdzie i zaraz oświadczył Gawłowi głębokie swoje współczucie.

On, tak samo jak i Gawęł, posady kiedyś łaknął. Dziś ją ma i lepszego bytu nie pragnie. Jestto obowiązek podpowiadania królowi publicznych zagajeń, bo trzeba wiedzieć, król nie bardzo jest wymowny (nie każdemu to dano, o! nie), a do tego astma go dręczy, której nabył sprzecząc się z ministrami. Takie to są systemy konstytucyjnego niedogodności rażące!

— Bardzo mi jest mile rozmawiać z łaskawym panem — tak mówił dalej — bo widzę, żeśmy oba zarówno przyjemni.

— O! pan jesteś przyjemniejszy — rzekł na to Gawęł. (Tamten nic nie miał przeciwko temu, człowiek bardzo grzeczny).

Następnie, serce swych piersi na przestrzał otworzywszy, jał powierzać Gawłowi dzieje swego życia.

Był niegdyś kapłanem sztuki (dramatycznej), a miał twórczość znakomitą! Ta z pewnością byłaby go zaprowadziła na wyżyny arcykapłaństwa (Gawęł nic nie miał przeciwko temu, człowiek również odpowiednio grzeczny).

— Pan wie zapewne co to jest komedia wyższa i co tragedia, te dwie siostry przyrodnie? — spytał Gawęł pogrążony w dumanii.

— Ma się rozumieć — odparł Gawęł i pomyślał: — Dziwny człowiek! Takich rzeczy któż nie wie? Komedia to przecież to co się śmieją, a tragedia to co się zabijają.

A tamten mówił dalej:

— Otóż proszę ja mego pana, gdyby nie zawiść, trzęsąca splotami jadowitych węzłów,



WALERY ELJASZ.



DO CHÓRU!



Gaweł pomyślał: — Czyżby na nim usiąść nawet można?

Tak to oni z sobą budującą wiedli rozmowę w oczekiwaniu na posłuchanie królewskie, do którego jednak nie przyszło. Rozbiegła się bowiem wieść głucha, że króla zabolął żołądek. Rzecz przypuszczalna po tylu wzruszeniach! Ale był jeszcze i inny powód. Król nabrał wstrętu do Gawła. To zaś stało się z powodu, o którym później się rozpowie.

#### ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Z trefnieniem króla Terefere naprężony Gawła stosunek. — Czy można się starać o pannę, której nie ma, czy coś podobnego? — Żyd wieczny tułacz, i jego w tym przedmiocie, równie jak i w innych, dziwne objaśnienia.

Tedy nasz Gaweł, jak się patrzy, nietylko posadę zyskał, ale i wysokie w kraju całym stanowisko, o którym, gdy się wieść po świecie rozleciała, znany nam trefniś króla Terefere (zwyczajnie człek niechętny) wyprawił do niego (z powinszowaniem niby) następny telegram:

Zazdrosne losy raz pono  
Coś i dla świni uczynią.  
Wyryła pod śmieci skrzynią,  
Z pieniędzmi sakwę zgubioną.  
Wtedy jej zaraz mówiono:  
— Ach! Jaśnie wielmożna świniu!

Gaweł przeczytawszy to spochmurniał. Tembardziej, że i godność Wielkiego Leśnika okazała się być istotnie współczucia tylko przyjaznego godną; lasy bowiem wszystkie, aż do ostatniej drzazgi, oddawna już przy wesołym śpiewie orylów do Gdańska splawiono. Ale najbardziej, że przywiązana do tej posady królewska pensja, blaski zdradziła zwodnicze, niby nie przymierzając na wzór tego, co uczynił podrzędny ów przedsiębiorca, który jak wiemy pojechał żonę sobie wziąć z kąpieli.

Co zaś do starania się o pannę, to i do tego jak wiadomo panny potrzeba, tej zaś nigdzie nie było, a to z tej przyczyny, że król (który w astrologów chętniej niżli w Boga wierzył), przy urodzeniu jej otrzymał był ostrzeżenie, jako syn tej królowny (o ile go będzie miała) tronu go kiedyś (być może) pozbawi. Więc przestraszony osadził ją na jakiejś wyspie i tam trzymał w zazdrośnym odosobnieniu (od jak dawna, pod karą nikt powiedzieć nie śmiał), aż dopóki astrologowie po zażegnaniu niebezpieczeństwa, wydać ją za mąż nie pozwolili.

Tymczasem zaś każde otwarcie sejmku Jeden z drugim w imieniu króla nieodmiennie rozpoczynał od słów uspokajających wszelkie o wojnę obawy:

— Córka nasza (Cymbelina się zwała) nie jest jeszcze pełnoletnia. Skoro do wieku sto sownego dojdzie, wesele jej wyprawić nie omieszkamy.

Gaweł tedy na królową oną czekał cierpliwie lat parę a może i dłużej, aż razu jednego, kiedy się po wydziale swoim przechadzał dumając, czyby choć z defraudacyi nie mógł mieć jakich dochodów (tylko z kądem wziąć defraudacyi bez lasów?), patrzy, aż tu wiekowy jakiś Izraelita miarowym krokiem ku niemu zdąża.

Po jego zbutwiałej brodzie, zapleśniałym grzbiecie, zmurszałym chałacie, spruchniałych aż po cholewy chodakach, bez trudności poznał wiecznego tułacza.

— Czy to waspan mości Aswer?

— Tak, to ja proszę wielmożnego pana — rzekł wędrowiec — ale co to pan poete tak ogląda te badyle? To ziaden nie jest ładny pejsarz (chciał powiedzieć pejzaż). Tu nie ma nawet nigdzie pożądane świrzbę (chciał powiedzieć wierzby; wogóle jako nie tamtejszy, niezbyt się on poprawnie po księżycowemu wyrażał), wsistko oni het wycięli.

Wsparł się na kiju.

— Ja panu co powiem. To jest takie narud, co nima ziadne zastanowienie. Uni tu nawet nie słuchają ziadne starzyny (starszyny). U nich ziawsie tylko zieby co nowego, i zieby jemu bawiło. Uni się bawią w handel, ale w taki co z kareciem jeździ, a handel to je taka rzecz, co zacina z zajęciem skórkiem a dopiru końcy na baranie. Fabrykanctwo to u nich zawsze Niemiec robi, taki co się tylko z zidkiem rozmówi. I oni potem gadają: — Nu za co ty nas wyprzedasz (wyprzedasz)? — Uni się i w przemyśle bawią, ale jak? Z psieprośieniem wielmożnego pana, ja widziałem w Paryżu albo w Londynie, jak nasie zidki na durniejach w szachry (w szachy) grają. Nie, to jak jeden drugiego w wierze (wieże) chce załapać, abo konia jemu ochwacić (uchwycić) to un przemysłuje i w głowę sobie drapi, a uni co? U nich w głowie nie ma co i drapać.

Utarł nos w połę od chałata i tak mówił dalej:

— Żeby tak zdrów był ten ich król, to un chciał, żeby ja był jego wielgi myszures, ale na co mnie tegie? Z niemi współkie to je złe towar. Bez urazy wielmożnego pana, ja sobie śliszałem, co wielmożny pan za jego córkę ma pójść za mąż. To nie jest dla takie delikatne umiślu. Una jest stare panne... Ja, jak tu raz ostatni przychodziłem, gdzie! jeście nim się zabrało na wojnę z Krymką (być może krymską), to ona już była na świecie.

Zaczem w tak drażliwy sposób o jego przyszłym szczęściu Gawła objaśniwszy, ów szewc nie mający nigdy czasu buty sobie załatać, ujął za swój kij sędziwy i zabierał się ruszać w dalszą drogę.

— Cóż się tak śpieszycie panie kupiec? — rzekł Gaweł.

— Ja nie mogę długo na miejscu bawić, ja muszę chodzić.

— Ależ tym sposobem toście już chyba i na końcu świata kiedy byli?

— Abo raz!

— I jakże to tam wygląda?

— Jest taki parchan (chciał powiedzieć parkan), co na nim stoi napisano: »Koniec świata«, to już niema co iść dalej.

— Ale słuchajciego jeszcze.



— Kiedy ni mam ciasu. Powiedziano jest w Miszry: Kwardego chlib twój jeść będziesz w pociejowie twego czoła.

To rzekłszy, nieubłagane odszedł w stronę pustyni, a Gawel wrócił do miasta.

## ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Gawel z niejaką ujmą swej godności, chodzi około sprawy oczekiwanego fraka ślubnego. — Ostatecznie trafia na taki, który sam na niego czekał. — Odźwierny pałacowy w mniej przyzwoity sposób oswaja Gawla z dworskim obyczajem.

W kraju całym zastał radość niezwykłą! Właśnie z upoważnienia zjednoczonych astrologów, pełnoletność królewny ogłoszono, Gawel czuł niezwykły rozstrój w duszy...

— Ta panna, mająca tak pełno tych lat niecofnionych! Gdyby choć nie więcej, jak dwa razy tyle, ile się to słusznie należy. Ale jeśli aż do trzeciego razu? Do diabła! zawsze to królewna, a on chudopacholek... No więc kiedy ją dają, to ma się rozumieć, że tego... Bo gdyby nie dawali, to rzecz oczywista, że ten...

Tak rozumując, doszedł do swego mieszkania.

Tam zastał zaproszenie na ślub z królewną, oraz nieodłączne od niego uroczystości. Więc gdyby nawet i chciał się cofnąć, już nie było sposobu.

Nie tracąc czasu, pobiegł tedy do krawca po frak zamówiony. Krawca nie zastał w domu. Tylko żona jego, wybierając się na przechadzkę doróżką dwuzłotową (nie miała własnej karety!) zapinając z pomocą domowego guwernera nie małą liczbę guzików u rękawiczki, oświadczyła mu z uśmiechem dobrotliwym, że nic nie wie o czynnościach swego męża, który prawdopodobnie w obecnym czasie używa chwil wytchnienia w cukierni pobliskiej, gdzie się zbierają właściciele pracowni ubiorów męskich (tak się z naciskiem wyraziła).

Gawel jak wiatr wpadł do cukierni.

— Proszę pana, cóż mój frak?

— Jaki to frak?

— Ależ ten com go dwa tygodnie temu zamówił.

— A! jak zamówiony to się robi.

— Ależ miał być już onegdaj gotowy.

— A dziś jest pojutrze. To czemuż się pan dwa dni temu nie zgłosił?

— Więc zrobiony?

— Proszę pana, przecież sam się zrobić nie mógł, a teraz tak trudno o robotników, że pan sobie nie wystawi.

— Przecież się o nich postarać można.

Tamten długo zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie przełknawszy parę łyżeczek mrożonej kawy:

— Proszę pana — rzekł bawiąc się dewizką — pan chyba nie tutejszy, niechże się pan zastanowi. Jakto? ja żebym się miał zniżyć do szukania robotników? Pan daruje, ale... żegnam pana.

Gawel strapiiony poszedł orzeźwić się w piwiarni. Siedziało tam przy kuflach kilku jegomości dość smutno usposobionych.

— Roboty jak niema tak niema — mówili ponuro. — Te psiawiary Niemcy, to ci nawet w poniedziałek pracują, więc zkadże człowiek biedny na chleb zarobić może?

— Przepraszam — rzekł Gawel — panowie może krawcy?

— Zkad pan wiesz?

— Mówię na chybił trafił, bo właśnie tu u jednego majstra...

Nie dali mu dokończyć.

— Proszę pana, przecież to nie my z nich, ale oni z nas żyją. Jeśli któremu potrzeba naszej łaski, to niech nas poszuka. My się o robotę prosić nie będziemy, jeszcze tego nie bywało.

— No, no — pomyślał Gawel — żony tych panów, to widocznie w jednego konia tylko jeżdżą (do tramwajów mniej słuszne żywić uprzedzenie), a rękawiczki zapina im pewnie terminator, o ile dziecka nie niańczy lub po piwo nie został posłany.

Tedy zdjawszy pychę z serca, udał się do tandety.

Tam w okamgnieniu wyszukano mu frak żywcem na niego stworzony. Tak przynajmniej zgodnie uznali wszyscy w sklepie, nie wyłączając nawet tych, co na ulicy ludzi zapraszali.

— Proszę pana, to jest rarytne kawałek — mówił sam właściciel magazynu »z gotowiem garderobiem« (tak stało wypisane przed sklepem żółtymi głoskami na tle niebieskiem). W składzie jego, jak twierdził, znajdują się nawet fraki dla garbatych.

— To dopiero! — pomyślał Gawel — pewnie także dla łysych i kulawych, a nawet może i dla zezowatych. Jednak to przemysł pod rękę z handlem drogą postępu idący, widocznie zdolny jest pogodzić z losem nawet istoty, przez naturę pasierbami na świat wydane.

Ostatecznie w dzień oznaczony, wyświeżywszy się przyzwoicie, przychodzi do pałacu. Ale tam, cóż znowu? drzwi wszystkie zastaje szczelnie zamknięte.

— Proszę cię mój kochany — pyta odźwiernego — dziś przecież miałem się ożenić z królewną, czy to ona jeszcze nie dość pełnoletnia?

A tamten mu na to ziewając:

— A na kiedy pan ma zaproszenie?

— Na dziś.

— A, to proszę łaski pana, u nas jak kogo na dziś poproszą, to jeśli jest dobrze wychowany, powinien przyjść nazajutrz. Im kto później się stawia, tem taki okazalej wygląda.

Wydało się Gawłowi, że w oczach jego lekceważenie wyczytał.



— Poczekaj — powiedział sobie odchodząc — niech tylko zyskam wpływy, to ty natychmiast na własne żądanie precz ztąd pójdziesz. — Ale tu litość go zdjęła i dodał: — Choćby wreszcie z pozwoleniem noszenia (pod pachą) munduru.

## ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Dramat kukurykański według wymagań świeżo obowiązującego stylu. — Robota w kasie, przy kasie i przed kasą. — Teatr, w którym wszystko przewidziano z wyjątkiem tego czego Gawel nie widzi, a to mianowicie z jakich powodów.

Zaczem, chcąc jako tako zużytkować balowe przystrojenie, wprost ztamtąd poszedł do dworskiego teatru. Już to Kukurykanie z temperamentu mają pociąg do przedstawień cyrkowych. Tedy, celem obudzenia w nich zamiłowania do prawdziwej sztuki, równie w balecie jak w operze, w komedii jak w dramacie, za pozwoleniem zwierzchności, zawsze im się urządza coś cyrkowego.

Sztuka, obecnie od pewnego czasu zasłużonej używająca wziętości, była właśnie rodzajem sportu myślowego z ideą tańczącą na wyciągniętej linie, z wzruszeniami wobec obręczy zaklejonych bibułą, wreszcie z sensem moralnym łatwo mogącym skrócić kark z trapezu. Niemniej przedstawiała wiarygodny protokół dokumentów, pilnie wprzód przez lupę zbadanych, a w niektórych szczegółach nawet przez drobnowidz... Była ma się rozumieć przeróbką z powieści i miała tytuł »Kukurykańska śledziona«. Treść jej była następująca:



ALFRED KSIĄŻĘ WINDISCHGRÄTZ

Prezes nowego ministerium w Wiedniu.

Dzieje się to w towarzystwie asenizacyjnem (proszę wierzyć że to jest bardzo przyzwoite towarzystwo). Wnętrze sceny przedstawia szopę, kędy się segregują odpadki wszelakie. Kurz tam panuje prawdziwy i nawet odrębna woń każdego szczegółu z wielką dokładnością jest naśladowana.

Bohaterka sztuki pracująca w oddziale szmat, jestto wiotka osobistość »stworzona tylko do zmysłowej rozkoszy. Z takich istot człek przedsiębiorczy wycalał sobie bożyszcze, ale nie mogą im być powierzone obowiązki w zakresie przedłużenia gatunku«. Więc gdyby taka nawet za mąż poszła (choć nie koniecznie z pomocą ołtarza), to i tak na niej się wszystko skończyć musi. Jakoż i poszła (w sposób wyżej do wyboru polecony) i to za bohatera, który ma wszelkie cechy siłacza, ale tylko w walce z kapitałem. Tedy »sprawiedliwa przyroda stojąca na straży szczęścia wszelkich organizmów żywych, odmówiła im potomstwa, zalecając surowo powstrzymać rozwój takiego pokroju. Musieli więc poprzestać na bezcelowej społecznie miłości małżeńskiej, jakbądź w dualistycznym swoim egoizmie, bardzo, ale to bardzo się kochali.« (Objęte tu cudzysłowem wyrażenia, są dosłownie wzięte z pomienionego dramatu).

Długoby opowiadać wszystkie przejścia wiodące ich oboje do nieuniknionej katastrofy, dość tylko powiedzieć, że ku końcowi sztuki (i to jest punkt kulminacyjny), bohater w bezprzykładnem uniesieniu, samego siebie chwytając za kołnierz i do góry podnosi, co ujrzawszy kapitał, pada na ziemię struchlały, i na to (aby nie drażnić plutokracji) dyskretnie zapada zasłona.

Potem jeszcze przejeżdżają w głębi aparaty wśród obłoków odwaniającego proszku (taki rodzaj apoteozy), ale już wtedy, stosownie do zwyczaju, mnóstwo osób do domu odeszło.

Rolę bohatera spełniał niezmiernie miły damom aktor, który w niej coraz mocniej przewyższał samego siebie, aż oto w tem górowaniu bez końca doszło do tego, co się poniżej nieco opowie.

Tymczasem zaś sztuka przedziwnie »robiła kasę«. Ta zaś kasa jakbądź już zrobiona, niemniej codziennie sumiennie robiła jeszcze swoje. To znaczy, że od wczesnego rana gnieciono sobie przy niej żebra, wymyślano sąsiadom i w nos się laskami szturgano, a to w tym jedynie celu, ażeby o pewnej godzinie, w odsuwającym się okienku, ujrzeć twarz błogo uśmiechniętego kasyera (czasem kasyerki, co już choć przyjemniej), a z ust owej twarzy usłyszeć zapewnienie uroczyste, że miejsca wszystkie co do jednego są zajęte; co nawet wyglądało, jakby tam każdy już na swoim siedział.

Jednakże tak nie było. Bo kiedy w całym znaczeniu tego słowa wracałeś ztamtąd z niczem, tak dalece, że nawet z kieszenią wyprzątniętą przez pobytych fatygantów; tymczasem, u posłańców tuż opodal, a także i w cukierniach pobliskich, niespodzianie wszelakich biletów dostać mogłeś, tylko, że za cenę, której wysokość poczwórna (prawdę mówiąc poczwarna), odebranymi kułakami wdzięcznie usprawiedliwiano.

Słowem, że takiego do sztuki zapalał, tylu w jej sprawie zabiegów, trudów i poświęceń, takiego z jej przyczyny rozwinięcia przemysłu, handlu i wogóle organicznej pracy, z dawna już w Kukuryku nie było przykładu, chybaży wziąć w rachubę pamiętny jubileusz ubóstwianego przez wszystkich karła Pupu, który obchodził dwudziestopięciolecie niezaprzeczonych zasług swej małości.

Kiedy Gawel po wielu przeciwnościach znalazł się wreszcie w sali, z podniesieniem zasłony, jak zwykle mocno się ociągano. Wtem czuje ten człowiek swąd jakiś, na widowiskach podobnych mniej właściwy.

— Czy się przypadkiem ogień gdzie nie zajął? — rzecze do swego sąsiada.



POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA.



PARK WYSTAWY Z WIDOKIEM NA PALAC SZTUKI.



— E, nie — odpowiada tamten — to jest po prostu dym z piekarni, która się znajduje tu pod spodem.  
 — Jakto? pod teatrem?  
 — Wyłączny to przywilej dworskiej sceny. Innym urządzenie podobne nie jest dozwolone.  
 — Ależ teatr spalić się może.  
 — Jest wysoko ubezpieczony.  
 — Ależ ludzie żywcem się popiec mogą.  
 — Nie koniecznie; bywały wypadki, że się wprzód podusili, bądź to dla braku tlenu, bądź dla nadmiaru azotu, bądź wreszcie skutkiem nieporozumienia z wodorem, czy coś podobnego.  
 Jakbądź ów objaśniający zdawał się być niezbyt biegłym przyrodnikiem, Gawel jednak, uspokojony jego erudycją, siadł i czekał dalej.

Siedziały przed nim dwie powabne damy. Jedna miała na głowie koczobryk z fordeklem, zdobnym w szumiące koronki, a druga kopułę koszykowej roboty nastrzępioną hojnym pierzem. Gawel podziwiał jak to można pysznić się na głowie tem. co ktoś drugi w ogonie nosił. Bądź co bądź miał z nich tę pociechę, że po za niemi nikt go nie widział, choć znowu za to sam przez nie nic widzieć nie mógł.

Właśnie o tem rozmyślał, kiedy po upływie nie więcej może jak godziny, wychodzi na scenę dyrektor, i przeprasza uprzejmie, że widowiska dziś nie będzie, bowiem namiętny aktor bardzo się obraził.

To się zaś tak zrobiło. Tłum, który się wybrał przyciągnąć go w powozie, składał się wypadkiem dziwnym (jak śledztwo sprawdziło) z samych dychawicznych osobistości. Te tedy odpocząć musiały w połowie drogi, i to rzuciło cień ośmieszenia na słońce sławy wielkiego artysty.

Wprawdzie król zmartwiony co tchu wyprawił do nich nadwornego konowala, ale nic to już nie pomogło, bo kuracya wymagała dłuższego czasu niż było potrzeba do powzięcia odmiennego postanowienia ze strony aktora.

Tak więc nie pozostało Kukurykanom, jak obyc się smakiem, co też i uczynili, rozchodząc się z szemranie godnem lepszej sprawy.

(Dokończenie nastąpi.)

FELICYAN FALEŃSKI.

## KRZYSZTOF KOLUMB W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

(Dokończenie).

### VI.

Druga, trzecia i czwarta podróż Kolumba nie następczą już spornych szczegółów. Natomiast ożywiony spór ostatnich lat odnosi się do miejsca wiecznego spoczynku wielkiego odkrywcy.

Krzysztof Kolumb umarł 21 maja 1506 roku w Walladolid. W testamencie napisanym na dwa dni przed śmiercią w obecności notaryusza, duchownego, a prawdopodobnie i obu swoich synów, wyraził życzenie, ażeby zwłoki jego na Hispanioli, jako w miejscu głównej działalności, spoczęły. Zwłoki złożono początkowo w grobowcach OO. Franciszkanów w Walladolid. Tutaj spoczywały aż do r. 1509, w którym to roku przewiózł je syn i spadkobierca Diego do klasztoru Kartuzów Santa Maria de las Cuevas, w pobliżu Sewilli położonego. Napis: »A Castilla e a Leon nuevo mundo dio Colon« ozdobił trumnę. Do rzędu znowu podać należy opowieść o włożeniu kajdan do grobu, któremi okutego przewieziono niegdyś na rozkaz Franciszka Bobadilli do Hiszpanii. O wypełnieniu ostatniej woli Kolumba nie można było na razie myśleć, bo budowa kościoła katedralnego w San Domingo na Hispanioli, gdzie zamierzano zwłoki na wieczny spoczynek złożyć nie była ukończoną. Dopiero w r. 1540 odbyło się poświęcenie nowej katedry i około tego też czasu nastąpiło prawdopodobnie przewiezienie zwłok z Hiszpanii; na pewne powiedzieć można, że w r. 1549 zwłoki już były a to w grobowcu umieszczonym po prawej stronie wielkiego ołtarza. Wskutek warunków pokoju w Bazylei r. 1795 zawartego przeszła wyspa Haïti (Hispaniola) w posiadanie Francji; Hiszpanie nie chcąc pozostawić prochów wielkiego męża na obcej ziemi, otwarli 20-go grudnia 1795 w katedrze w San Domingo po prawej stronie wielkiego ołtarza grób i wyjęli ztamtąd małą ołowianą trumnę, zawierającą kości ludzkie, które jako resztki zwłok Kolumba zabrano i z wielką okazałością dnia

19 stycznia 1796 r. w katedrze w Hawannie na Kubie złożono.

Wtem 82 lat później, 10 września 1877 r. napotkali robotnicy — zajęci w katedrze w San Domingo odnowieniem podłogi — grób, położony po prawej stronie wielkiego ołtarza między ścianą i wypróżnionym przez Hiszpanów grobowcem. W tym grobie znajdowała się również mała trumna z kośćmi, a umieszczony wewnątrz napis kazał się domyślać, że Hiszpanie uwięźli w r. 1795 nie trumnę z kośćmi Krzysztofa Kolumba, tylko prawdopodobnie jego syna starszego Diego (zmarłego w r. 1526), którego zwłoki tutaj również złożono. Wiadomość o tym wypadku wywołała ożywiony spór między badaczami rozmaitej narodowości. Akademia Umiejętności w Madrycie wysłała osobną komisję w celu dokładnego zbadania a sprawozdanie jej ogłoszone w r. 1879 orzeka, że owe znalezienie resztek wielkiego odkrywcy jest nieprawdziwe. Mimo tego orzeczenia podjął się ponownego zbadania w r. 1891 Rudolf Cronau. Otrzymałszy zezwolenie od rządu rzeczypospolitej na San Domingo przystąpił na dniu 11 stycznia 1891 r. w obecności urzędników rzeczypospolitej i konsulów obcych państw do oglądania grobowca i trumny. Cronau oświadcza się za autentycznością trumny i kości a rezultaty swoich badań ogłosił w jednym rozdziale wydanego w przeszłym roku dzieła<sup>1)</sup>. Z innem natomiast twierdzeniem wystąpił G. De-Negri<sup>2)</sup>. Opierając się na brzmieniu wyrazów wrytych na tabliczce srebrnej, a znalezionej w trumnie, i na ilości kości tamże zawartych, a następnie na tradycyi łączącej się z przeniesieniem zwłok Kolumba, wywodzi, że Hiszpanie zabrali w r. 1795

<sup>1)</sup> Ob. Cronau Rudolf: Amerika. Leipzig 1892.

<sup>2)</sup> Ob.: Colomb et le IV centenaire de la découverte de l'Amérique. Paris. 1892.



tylko część kości, bo drugą część zachował powodując się pietyzmem dla wielkiego odkrywcy ówczesny kanonik katedralny imieniem Ximenes i pozostawił nadal w tym samym grobowcu. Prawdopodobnie najtrafniejszy tu będzie sąd kilkakrotnie już wymienionego znakomitego biografa Henryka Harisse, że ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi jest obecnie wręcz niemożliwe.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o portretach Kolumba. Mimo sławy a nawet popularności jaką Kolumb aczkolwiek krótki czas posiadał, nie przekazali nam współcześni wizerunku wielkiego męża. Do r. 1891 znana była znacznie większa ilość, bo dziewięć rozmaitych wizerunków Kolumba, bądź olejnych, bądź drzeworytów, częstokroć zupełnie różnych; na początku tegoż r. 1891 przyszła wiadomość o odkryciu wreszcie w Como, w domu D-ra de Orchi prawdziwego portretu Krzysztofa Kolumba. Dotychczas jednak żaden z tych wizerunków nie zasługuje na nazwę autentycznego. Główną bowiem wątpliwość wzbudza historia malarstwa w Hiszpanii. Portretów Kolumba w Hiszpanii możemy się spodziewać dopiero po pierwszej podróży z lat 1493—1506, bo przedtem żył Kolumb w ubóstwie i zupełnie nieznany. W owym jednak czasie nie żył w Hiszpanii żaden malarz portretów; najwcześniejszym jest dopiero Alonso Sanchez Coello, malarz nadworny Filipa II, urodzony w r. 1515 a więc już po śmierci Kolumba. Przedtem byli w Hiszpanii

li tylko malarze obrazów świętych. To też wszystkie podawane jako współczesne portrety Kolumba muszą wzbudzić niedowierzanie. Przytem należy zauważyć, że Kolumb popularnością cieszył się krótko, że w ostatnich latach żył w zapomnieniu. Wymownem świadectwem tego zapomnienia jest kronika miasta Valladolid (Cronicon de Valladolid), w którym to mieście Kolumb zakończył życie. Kronika ta zawiera wiadomości nawet o współczesnych drobnych wypadkach w mieście, a nie wspomina ani jednym wyrazem o śmierci męża, który Hiszpanii odkrył nowe kraje. U pisarzy też na początku XVI wieku żyjących nie spotyka się żadnej wzmianki o istnieniu wiarogodnego obrazu. Być jednak może, że jakiś włoski malarz rysy Kolumba pochwylił i że podług takiego wizerunku powstały późniejsze obrazy olejne w Hiszpanii.

Jak widzimy w życiu Kolumba nierozjaśnione chwile przeważają. Nowsze badania zdołały zaledwie jedną część tychże odsłonić, inne pozostały zupełnie niejasne lub zaciemnione. Badania te zmniejszyły w jednym urok otaczający dotąd osobę wielkiego odkrywcy. Mimo jednak tej krytyki pozostał Krzysztof Kolumb mężem nadzwyczajnych przymiotów. Podziwiamy jego niezmordowaną wytrwałość, niczem nie zachwianą ufność w swe przedsięwzięcie, jego żywą wiarę religijną, przymioty, które wzniosły Kolumba wysoko ponad otoczenie i zapewniły mu sławę nieśmiertelności.

WALERYAN HECK.

## NOWE POWIEŚCI.

ADAM KRECHOWIECKI. — „Najmłodszy”, powieść, 2 tomy. — Warszawa, Gebethner i Wolff. 1893.

Wrażenia, jakie powieść Adama Krechowieckiego wywołać musi w umyśle uważnego czytelnika, podzielićby można na dwie odrębne kategorie. Jedną grupę tychże odnieść należy do tendencji utworu, zapowiadającej się już w samym tytule, a sformułowanej wyraźnie w końcowym ustępie „Najmłodszych”. Co do tej kwestyi, autor usiłował widocznie odtworzyć psychologię najmłodszego pokolenia, a wziął się do dzieła w okresie chwilowej prawdopodobnie goryczy i zniechęcenia. Temu też nastrojowi umysłu przypisujemy punkt zapatrywania pisarza na naszych „najmłodszych”, że zaś dyskusja i polemika co do tendencji utworu wykroczyć by musiała poza ramy sprawozdania ściśle literackiego, wolimy przeto ograniczyć się do zarejestrowania drugiej kategorii wrażeń, jakie budzi literacko-artystyczna strona powieści; pod tym zaś względem zaliczyć ją musimy do dzieł wyjątkowej u nas wartości i piękna. Kompozycja rozwinięta starannie, łamiąca się zaledwie nieco przy końcu, idzie o lepsze z potocznością opowiadania, tak, iż akcja cała płynie gładko i żywo, niby fale w bitym strumieniu. Autor — jak zwykle zresztą — jest i w tej powieści mistrzem w prowadzeniu dialogu językiem niepospolicie czystym i jedynym, a zawsze wykwinnym. Przynoszą też „Najmłodszy” i nowy pierwiastek, a mianowicie rzadko dawniej ujawniający się u autora „Szarego wilka” serdeczny ton liryczny, który okrasza omawianą przez nas powieść wdziękiem zaiste niewypowiedzianym. Nabytek ten jest bezsprzecznie krokiem naprzód w rozwoju talentu znakomitego powieściopisarza, świadcząc zarazem, że umie on odczuwać serca ludzkie w różnych epokach, sytuacjach i odmianach. Tom pierwszy zwłaszcza, w którym

znajdujemy dzieje lat młodzieńczych i »sielskie-anielskie« dzieciństwo czworga bohaterów, mieści w sobie ogromną rzewność i poezję, wywołaną zapewne własnymi wspomnieniami dobrze A. Krechowieckiemu znanej i gorąco ukochanej Ukrainy. Osoby i czasy opiewane w ekspozycji, nie mogłyby chyba osiągnąć takiej plastyki i wyrazistości, gdyby ich kontury i barwy nie czerpał autor tak obficie z życia i osobistych pamiątek. Opis magnackiego dworu jurpolskiego i jego właścicieli, przedstawionych w trzech pokoleniach, karlejących kolejno i rozkładających się z biegiem czasu, podaje nam szereg sylwetek jak gdyby wykrojonych z portretów, nie dawnych ale już zanikłych, cennych więc jako typy i jako pamiątki.

Atmosfera dostatku, szlachetności i dostojeństwa uczuć a zarazem niepraktyczności, graniczącej ze słomazarnością, musiała — ostatniego potomka z rodu Czarnoszyńskich — Zygmunta, uczynić takim, jakim go przedstawił autor, to jest egzaltowanym, wytwornym, subtelnym, nadewszystko zaś słabym, aż do popełnienia podłości, jaką było przyjęcie posady sekretarza u księcia de Sarthes, z którego żoną a swoją kuzynką prowadzi potajemnie romans. Wysoko rozwinięty krytycyzm i w dzieciństwie wpojone zasady etyczne każą mu odrazu nazywać po imieniu ten rodzaj postępowania, a jednak nie posiada on dość siły woli, potrzebnej do wywikłania się z zagmatwanej sytuacji. Ludzie w tym rodzaju, a jest ich niestety legion, nie powinni wchodzić nigdy w kompromis ze swoim sumieniem, gdyż popełniając nawet nikczemność, nie zdolni są z niej korzystać i użyć jej owoców. Postać Zygmunta — kreśloną starannie, lecz jakgdyby przymglonemi nieco barwami — otacza widocznie A. Krecho-







IATEJKO.



UNIA.



wiecki specjalną sympatią, która udziela się czytelnikowi, niezdolnemu potępić tego raczej nieszczęśliwego niż występnego neurastenika. Jakoż pragnęlibyśmy niemal popchnąć go w silne ramiona Oli-»znajdy«, sieroty niewiadomego pochodzenia, wychowanej w dobrotliwym domu Czarnoszyńskich. Przy boku tej kobiety szlachetnej a dzielnej, artystki z zamiłowania i Bożej łaski, mógłby ów *slaby* — ostatnia latorośl magnackiej rodziny — znaleźć podporę i siłę do życia. W żarze jej miłości wiernej, stłumionej a tak ofiarnej i pozbawionej egoizmu, nabrałby hartu i woli, której nie dało mu ani wychowanie, ani późniejsza, zbyt ciężka dla nieprzygotowanego walka o byt, jaką w Paryżu toczyć musiał. Jakżeż często i w życiu nie kojarzą się ci, którzy patrzącym z boku wydają się jak gdyby właśnie dla siebie stworzeni, to też można mieć istotny podziw dla autora, który w imię raz nakreślonego planu i ścisłej psychologii, zdołał się obronić pokusie wydania Numy za Pompiliusza, co przeciętnej publiczności wydałoby się takim ślicznym, wzruszającym, choć tak banalnym powieściowym zakończeniem. Dla myślącego jednak czytelnika, stokroć bardziej wzruszającą jest końcowa scena, gdy tych dwoje niepraktycznych, przebiegłszy już wiosnę życia a nawet i jego gorące południe, stoi obok siebie na wyżynie wieży Eiffel, mając u stóp wrzący ruchem i szaleństwem nowoczesny Babylon. Złączeni przyjaźnią, a nie miłością, marzą oni o powrocie w rodzinne strony, kędy wiatr od stepu tak rozkosznie by chłodził ich czoła rozpalone walką i cierpieniem. Obok tej pary marzącej i uczuciowej, spotykamy w galerii »Najmłodszych« jeszcze drugą, którą ochrzciłby można mianem pozytywnej. Kusicielka Zygmunta, Irena, to typ współczesnych kobiet wielkiego świata. Lekka, pusta, rozbawiona i zdenerwowana, zepsuta została już w dziewictwie swem i skalana niewinnym na pozór flirtem. Zygmunta kocha gorąco i prawdziwie, lecz zanadto jest dzieckiem swego otoczenia i wieku, by nawet dla miłości umieć poświęcić ambicję i upodobanie w zbytku. Woli zatem stać się występną i pośrednią sprawczynią śmierci swego męża, którego trup stanowi wieczną zagrodę do szczęścia Zygmunta i Oli.

Autor, znający dokładnie arystokratyczne salony, nie przeocza w nich i typów dodatnich, jakimi są: matka Ireny, zacna, sympatyczna hr. de Larjeac, książę de Sarthes, nie mówiąc już o przepięknej postaci starego marszałka Czarnoszyńskiego, przed którą kornie tylko głowę schylić można. Świat ten cały odtworzony jest wytwornie piórem lekkim, swobodnym; nie psuje w nim harmonii artystycznej prawdy, ani jeden rys fałszywy.

Z innej już sfery czerpaną jest wypukła i charakterystyczna sylwetka drugiego z bohaterów powieści. Jerzy Sipajło, syn ekonoma i pełnej próżności szlachcianki, silny, energiczny i szyderczy cynik, kłusujący przez całe życie rękę, która go od dziecka obsypywała dobrodziejstwami, zazdroszczący zawsze Zygmunta jego urodzenia i moralnej wyższości, wyszedł w odtworzeniu autora świetnie jako postać, tylko nie jako typ »Najmłodszych«, chociaż zdawałoby się, że takim właśnie Krechowiecki stara się go przedstawić. Wśród młodzieży naszej, zdobywającej wiedzę o głodzie i chłodzi, nie trudno wszakże znaleźć i takich co ukochali

całą duszą ideę, jak niegdyś Galileusz, a więcej z pewnością jest osobników z tej kategorii, aniżeli brutalnych Sipajłów, którzy czysty ołtarz wiedzy kalają niską żądzą sławy i wyniesienia, dopuszczając się z tych pobudek nawet zbrodni. Konsekwencja z jaką jednak autor przeprowadza postać Jerzego, wydaje szczytne świadectwo niezwykłemu talentowi pisarza. Od dzieciństwa aż do ostatniego aktu życia, kończącego się samobójstwem, czuje się w tym synu ekonomicznym całą falę krwi gorącej, czerpanej z żył zdrowego, chłopskiego organizmu. Sylwetka to żywa, jędrna, nakreślona z prawdziwym rozmachem i temperamentem. Wybornie n. p. przedstawioną jest jego walka z jedynym prawdziwym w życiu uczuciem: miłością ogarniającą go dla Oli, niegdyś prześladowaną przez niego znajdują, później zaś kobietą zdobną we wszystkie zalety, otoczoną upajającą atmosferą talentu i sławy. Napróżno powtarza sobie Jerzy, że wszak to tylko kobieta, a ta mu na drodze do zamierzonego celu stanąć nie powinna — serce jednak tłumione długo, upomina się o swoje prawa, choć w imię ściśle zachowanej prawdy psychologicznej, odzywa się po swojemu brutalnie i egoistycznie. A. Krechowiecki, zbyt jest subtelny obserwatorem i znawcą duszy ludzkiej, by nie zauważyć, że nie każdego stać na miłość wielką, prawdziwą.

Mniej już konsekwentnie obmyślaną jest prześliczna postać Oli, owiana potrójnym urokiem sieroctwa, tajemniczego pochodzenia i artystycznych aspiracji. Miara jej czynów w niepełnej jest zgodzie z ogólnym tłem charakteru, tak śmiało, jasno i pewnie nasyconego z początku powieści, a nie wolnego od dysonansów w dalszym rozwoju. Ola, taka jaką ją autor ukazuje w różnych fazach jej życia, zawsze prawie trudnych i bolesnych, silna i szlachetna, świadoma swych uczuć i celów kobieta, natchniona artystka, kochająca nade wszystko sztukę — po pierwszych z nią pomyślnych ślubach nie wyrzekłaby się chyba tak łatwo kariery artystycznej i sławy, której zakosztowała już z upajającego kielicha. Nie poświęciłaby na rodzaj całopalenia wszystkich zasobów moralno-intelektualnej swej istoty dla pielęgnowania przypadkiem odnalezionych a zupełnie dotąd nieznanych: staruszek-babki i ojca cudownie zaprawdę uleczonych z długo trwającego obłędu. Młodość i talent nie łatwo zgnieć się dają w jednostkach normalnie rozwiniętych i bujnie pod każdym względem wzrastających; pełnia zaś życia i uświadomienia stanowi właśnie wybitną cechę pięknej w założeniu kreacji. Epizodycznie wtrącone postacie, występujące na drugim planie, pozostają w ścisłej łączności z głównymi bohaterami i odznaczają się prawdą a zarazem artystycznym pięknem, t.j. pewnego rodzaju poezją w realizmie, zadawalniającą tem samem i krytyczne wymagania i owe drżące w każdym człowieku pierwiastki rzeczywistości, czy sentymentu. To tak rzadkie dopełnienie warunków powieściowych, owa wielostronność w artystycznej jednolitości, składają się właśnie nie tylko na gorączkowe zainteresowanie, z jakim się czyta najnowszą powieść A. Krechowieckiego, ale co więcej na pełnię artystycznego zadowolenia, jakiego dostarczyć muszą »Najmłodszy« wybredniejszej publiczności.

K. J. NITMAN.



## PANNA Z POSAGIEM.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE.<sup>1)</sup>

(Ciąg dalszy).

SCENA II.

SĘDZIA — na przodzie sceny. Drzwiami w głębi wchodzi: JADWIGA, LUDWIK (rozmawia z nią), P. LEONOWA, ALBIN (rozmawiają z sobą), JAN (milczący i pochmurny).

LUDWIK (do Jadwigi).

Jak pani mówi?

JADWIGA.

Mówię, że nie zrozumiałam pana.

LUDWIK (z przekąsem).

Pytałem się, o ile wrażenie odpowiedziało oczekiwaniu.

JADWIGA.

Nieznosny pan jesteś.

LUDWIK.

Dlaczego? mam prawo zrobić to zapytanie, jako przypuszczony, chociaż mimowolnie, do tajemnicy... (poufnie) Poznałem natychmiast ledwie spojrzawszy... ale zdaje mi się, że oryginał pomimo ożywienia, jakim naturalnie przejęty jest przy pani, jeszcze bezbarwniejszy, niż martwa kopia.

JADWIGA.

Nie pytałam pana o zdanie, zresztą wszystko mi to jedno.

LUDWIK.

Wszystko jedno?... bardzobym pani winał gdyby to było prawdą.

JADWIGA (żywo).

A to dlaczego? (patrzy mu w oczy. Ludwik kilka chwil patrzy podobnie na nią, poczem mówi jej do ucha. Jadwiga odwraca się od niego i siada na uboczu z lewej strony).

ALBIN (który rozmawiał z p. Leonową, spostrzegłszy sędziego).

A! otóż gospodarz domu... (idzie do niego) Witam szanownego pana dobrodzieja i zarazem przypominam się jego pamięci.

SĘDZIA

A, bardzo mi przyjemnie... (całuje go w oba policzki) bardzo mi przyjemnie... O! pamiętam doskonale... przeszłego roku w Karlsbadzie... stałeś pan pod Ananasem, naprzeciwko mostu...

ALBIN.

Tak jest.

SĘDZIA.

Dawno pan przyjechał?... nic nie wiedziałem.

ALBIN.

Niedawno... Pan sędzia zajęty był gospodarstwem?

SĘDZIA (układając fazygnomię).

A tak, cóż robić... trzeba.

ALBIN.

Sam się pan trudni?

SĘDZIA.

A, proszę cię, czy to dziś można spuścić się na kogo! (p. ch.) Siadajże łaskawco... (prowadzi go do kanapy z prawej strony i sam siada przy nim). Wszak pan mieszka w Mławskim?

ALBIN.

Tak jest w Mławskim... (rozmawiają n. s. sędzia niekiedy klepie go po kolanie, na co ten się usuwa; roztargniony jest i spogląda często na resztę towarzystwa, otaczające Jadwigę).

P. LEONOWA (usiadłszy w głębi, także z lewej strony, do Jana, który usiadł z strony przeciwnej).

Panie Janie, o czym się pan tak zamyśliłeś?

JADWIGA (z ożywieniem).

Ale, prawda, uważam że pan Jan jakiś dzisiaj rozmarzony... w niezwykłym usposobieniu.

LUDWIK (który chodził po scenie, widząc że Jan nie słyszy; głośno).

Jasiu! panna Jadwiga raczy się zajmować tobą, a ty śpisz!...

JAN.

Ja?... (wstaje) Czy pani do mnie mówiła?

JADWIGA.

Pytałam się z kądem dzisiaj u pana to usposobienie sentymentalne... o czym się pan tak zamyśliłeś? (Ludwik siada przy p. Leonowej i rozmawiają, uważając na Jadwigę i Jana).

JAN.

Ja pani?

JADWIGA (wskazując mu miejsce przy sobie).

Siadaj pan... (gdy usiadł) Słucham usprawiedliwienia...

JAN (patrząc w jej oczy).

Człowiek najprozaiczniejszy ma swoje chwile usposobień niezwykłych, poetycznych, w których roją się w jego wyobraźni widzenia pół senne, powstają pasma obrazów najczęściej nie trafiających się na jawie. Dziś byłem właśnie tak nastrojony, snulem tkaninę cudowną na tle różowym... gdy nagle zimne tchnienie rzeczywistości, przerwało wątlą niteczkę...

JADWIGA.

Nie sądziłam nigdy, abyś pan należał do marzycieli bujących po obłokach.

JAN.

Dlaczego?

JADWIGA.

Bo o ile pana poznałam, zdawało mi się przeciwnie, że pan zanadto czasem niedowierzasz rzeczywistości, choćby bijącej w oczy, a cóż dopiero jakimś mrzonkom.

JAN (żywo).

Jak to pani rozumie?

JADWIGA.

Domyśl się pan... (rozmawiają cicho).

<sup>1)</sup> Zastrzegają się prawa spadkobierców autora wobec scen polskich. — Teatra, któreby chciały nabyć »Pannę z posagiem« raczą się zgłosić do Zygmunta Sarneckiego, Kraków, 34, ulica Szpitalna. (Przypisek redakcyi).



SĘDZIA (zwracając uwagę Albina skierowaną na Jadwigę i Jana, uderza go parę razy, co raz to mocniej, w kolano).

Jakże się tam ma prezesowa?

ALBIN (roztargniony).

Pani prezesowa?... o! teraz bardzo jest dobrze...

SĘDZIA.

Pisała mi, że ma jechać do Szczawnicy.

ALBIN.

A tak! podobno...

SĘDZIA.

Miewa uderzenia... Ale panowie nie palą... Ludwiku przynieś-no cygar.

LUDWIK.

Mam przy sobie... (wstaje i dobywszy cygarnicy podaje ją Albinowi, który także wstał) Służę... (dzwoni na Franciszka, do którego mówi parę słów na boku).

LUDWIK (śmiejąc się).

Bukiet.

JADWIGA.

To komplement! (do Jana) Daj mi pan jedną różę... (Jan wybiera) Nie tę... tamtę jaśniejszą... na wpół rozkwitłą... (Jan przynosi) Dziękuję panu... (p. Leonowa powstawszy na jej znak upina różę w jej włosach, poczem siada przy niej i rozmawiają po cichu).

JAN (n. s.).

O! czemuż nie mam wzroku sięgającego do głębi duszy!... Czy wolno mi wierzyć temu, czy też to jest proste wyrachowanie?... (siada na dawnym miejscu).

SĘDZIA (z kanapy do Albina).

Ale też miałeś pan kawał drogi.

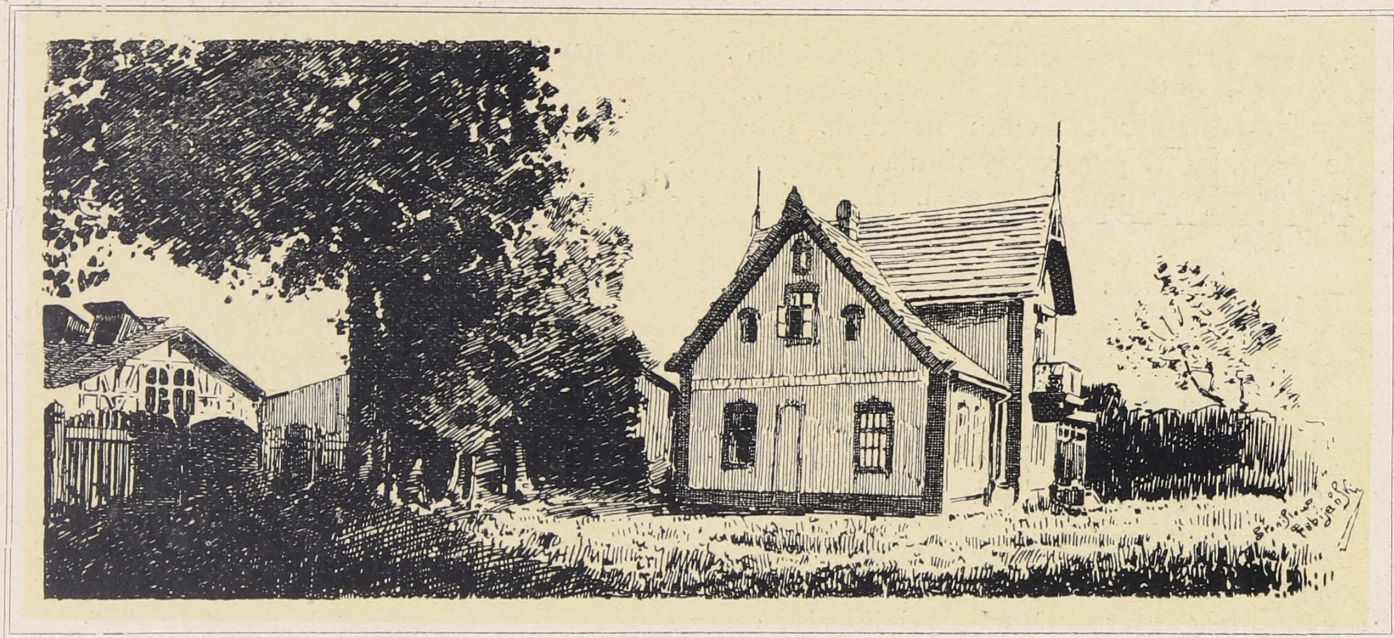
ALBIN.

A tak, kilkanaście mil.

SĘDZIA.

Jakaż tam okolica u was... lasy są? wody?

# POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA.



BIURO DYREKCJI I INŻYNIERA WYSTAWY.

ALBIN (do kobiet).

Czy paniom nie będzie szkodzić?

P. LEONOWA.

O! dziś panowie takeście już nas przyzwyczaili do tego...

LUDWIK (do Jana).

A ty?

JAN.

Dziękuję... później. (Franciszek wnosi zapaloną świecę).

JADWIGA (do Jana, zwróciwszy uwagę na kwiaty, podczas gdy Albin zapala cygaro).

A, jaki śliczny bukiet... dziękuję panu, bo jestem pewna, że to pańska niespodzianka.

JAN.

Tak jest...

LUDWIK.

Aż się ożywił, gdy pani zwróciła na niego uwagę.

P. LEONOWA.

Kto?

ALBIN.

O! są...

SĘDZIA.

Szczęśliwy, musisz mieć zwierzyny podostatkiem... tu u nas brak coraz większy... A raki masz?

ALBIN (roztargniony).

Raków nie mam.

SĘDZIA.

Nie masz raków?... jakże robisz?...

ALBIN.

Nie jem... zresztą nie lubię... szkodzą mi.

SĘDZIA (n. s. zgorszony).

Raków nie lubi!... a mają być na kolację.

JADWIGA.

Nie wiem dla czego, ale zdaje mi się koniecznie, że to musi być smutna okolica... szczególniejsze uprzedzenie, nieprawdaż?

ALBIN (siadając przy niej).

O! pani... któraż okolica u nas wesola?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

JÓZEF BLIZIŃSKI.



## WYSTAWA W 1894 ROKU.

Na czele przedsięwzięcia, miłością kraju całego otoczonego, stanął — jak to już wspominaliśmy — A. ks. Sapieha.

W d. 1 czerwca r. 1894, po tradycyjnej modli-



ADAM KSIĄŻĘ SAPIEHA.

twie kapłańskiej otworzy on powszechną wystawę krajową, a jakkolwiek od wielkiej chwili tej dzieli nas jeszcze długie półroczce, przecież dziś już powiedzieć można śmiało, iż na punkcie fundamentalnych warunków wystawy, t. j. strony technicznej i wyboru miejsca zwycięstwo jest zapewnione.

Nawet najzagorzalsi przeciwnicy Lwowa (co prawda uszczuplają się ich szeregi) przyznać muszą, że założony przed paru laty park Kilińskiego, powszechnie Stryjskim zwany, jest pierwszorzędną miasta ozdobą, akiej mu przedniejsze nawet grody pozazdrościć mogą. Dzięki stałej pamięci gminy i umiejętnej a nieustrudzonej pieczołowitości celnego ogrodnika p. Röhringa, park ten z roku na rok rozszerza się, kraśniej, pociągając ku sobie coraz liczniejsze zastępy głodnych zawsze powietrza mieszczuchów, bezkrwistych *flaneurów*, amatorów i amateerek uroczej zieleni, romantycznych ścieżek, dużych przestrzeni i jasnego słońca...

Od strony południowo-wschodniej otacza park

obszerne płaskowzgórze, do niedawna, mówiąc krótko: szpetny nieużytek. To właśnie płaskowzgórze upatrzone jako plac na wystawę! W początkach wybór trafił na ostrą, a jak u nas zazwyczaj, zjadliwą krytykę... »Do krytyki piórek las...« Nic w tem wszakże nie było dziwnego... Patrząc na dość nieforemny całokształt onego wzgórza (na 130 m. szerokości około 1.000 m. długości) o licznych wykopach, wybojach i debrach jakich się nawet miejscowi pp. Rinaldyniowie lekali, nie chciano po prostu wierzyć, iżby z pustkowia tego dało się wykroić wystawowe pole, tem bardziej, iż na pierwszy rzut oka ocenić było można olbrzymie trudności w splantowaniu kapryśnego terenu, a co ważniejsza w upiększeniu miejsca wegetacją, której brak zupełny rażąco zdawał się przeszkodą. Jednak *audaces fortuna juvat*... Hazard był, ale od raz powziętej myśli nic inicjatorów nie odstraszyło. Powiedziano sobie: tu będzie wystawa, tu wystawa być musi, piękniejszego bowiem położenia i na stary Lwów widoku nie ma, i wymarzyć go sobie nawet trudno... Rzeczywiście, kardynalnych tych warunków nikt wybranemu miejscu odmówić nie zdoła. Przybysze z nad Wełtawy, Dunaju i... Wisły, plac zwiedzający, zachwycają się wspaniałym widokiem na park, miasto i sąsiednią pełną tajemniczych wdzięków Zofijówkę.

Zrozumieć łatwo, iż pierwszą arcyważną czynnością komitetu wystawy było przysposobienie techniczne wskazanego terenu. Należało uzmysłowić sobie dyspozycję wystawy, czyli mówiąc językiem technika, wypracować jej plan sytuacyjny. Tym końcem powierzono zdjęcie wysokościowe terenu prof. Widtowi, poczem rozpisano konkurs na plan »sytuacyjny«. Na konkursie zwyciężył hr. Łubieński. Plan jego okazał się najlepszym, a jakkolwiek (co zresztą nie dziw) uległ on w trakcie robót pewnym zmianom (na wystawie paryskiej zmieniano plan razy ośm, a nawet do chwili otwarcia jeszcze waryacji się dopuszczano!) — to przecież dyspozycja w zasadzie przyjęta utrzymana została i okazała się — z uwagi na konfigurację placu — arcytrafną!

Charakterystycznym znamię placu tego jest przeprowadzenie środkiem terenu szerokiej osiowej drogi, łączącej dawne *corso* — od parku Stryjskiego odbiegające — z drogą, na obrane płaskowzgórze od ulicy św. Zofii wiodącą. Na głośniej drodze tej projektant wytworzył dwa centra w formie obszerne placów, ozdobionych basenem i fontanną świetlaną, a z nich, jakoteż i w dalszym ciągu od samejże drogi rozprowadził pomniejsze drożyny, ścieżki i t. d. przy których rozmieścić się dały budowle. Pozostałe wolne miejsca otrzymają dekorację ogrodowo-kwiatową.

Wprowadzenie projektu w czyn spotkało się z ogromnemi trudnościami. Okazało się, iż w celu wykopania nasypów i rozplanowania poruszono — bagatela! — 50.000 metrów kubicznych ziemi. Dalszą trudność stanowiło utrwalenie skopanego gruntu (gliny) pod drogi i dróżki. Wyszła na jaw potrzeba kanalizacji całego placu, ścieków, zabezpieczenia urwisk darniowaniem i t. p. robót inżynierskich, które dziś, dzięki żelaznej energii hr. Łubieńskiego, w przeważnej części uskuteczniiono, a które zmieniły teren do niepoznania.

Teraz przypadła kolej na niezmordowanego ogrodnika p. Röhringa. Szedł on równolegle z postępem



robót ziemnych bez przerwy, nawiązując ścieżki ukochanego swego dziecięcia Stryjskiego parku z placem wystawy i przygotowując wszystko co tylko do dalszej akcji przystrojenia placu potrzeba. Oby i ta ważna strona wystawy okryła nową chlubą mistrza-ogrodnika!

Wracając do chronologicznego porządku wspomnień musimy o robotach w celu dostarczenia wody na plac wystawowy i o środkach komunikacyjnych. Poważne wielce kwestye te rozstrzygnięto za inicjatywą dyr. Hochbergera i przy czynnym współudziale rad. bud. Goreckiego w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Woda wydobywana ze studzien w pobliskiej Zofijówce (wedle orzeczeń fachowych bardzo dobra), rozprowadza się sposobem mechanicznym za pośrednictwem ogromnego rezerwoaru umieszczonego na zbudowanej wieży. Pod kierunkiem inżyniera wystawy hr. Łubieńskiego wykonała część mechaniczną wodociągów znana zaszczytnie w kraju firma Zieleniewskich w Krakowie. Wieżę wodną o średniowiecznym charakterze opracował według pomysłu prof. Zacharjewicza młody architekt p. Łużecki. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż chodziło tu — ani mniej ani więcej — jak o 400 metrów kubicznych wody dziennie! Ogromna to zaiste ilość a przecież fachowcy uważają ją za *minimum*, z uwagi na olbrzymią konsumpcję wody przez kotły, maszyny wszelakie, fontanny, zbiorniki, oraz na potrzebę tejże do skrapiania ulic, na zaopatrzenie licznych restauracji, do fabrykacji sztucznej lodu i t. p.

Dłużej jeszcze zaprzętała komitet sprawa dojazdu do placu wystawy. Wyłaniały się kolejno różne projekty nowej drogi, względnie — poprawy istniejącej. Ostatecznie przyjęła się najtrafniejsza myśl dyr. Hochbergera, który zaproponował odgałęzienie z ulicy św. Zofii o równomiernym łagodnym spadku. Droga ta obecnie w dwóch trzecich gotowa, malownicza jak rzadko, prowadzić będzie pod główną bramę i służyć dla pojazdów dla — nowości nad nowościami — tramwaju elektrycznego. Urządzony obecnie tor kolei żelaznej, jako odnoga kolei czerniowieckiej, służy wyłącznie na czas budowy i urządzania wystawy jako środek łatwiejszego transportu mnóstwa materiałów konstrukcyjnych. Bezpośrednio przed otwarciem wystawy tor ów ulegnie rozbiórce a zrównany plant kolejowy włączony będzie do terenu wystawy.

Czas już przejść do drugiego działu prac przedwstępnych i przypatrzyć się głównym budynkom wystawowym, które podaje rycina na str. 539.

Wstępując bramą główną — a raczej, jak dzisiaj prowizoryczną, w parkanie umieszczoną — trafiamy na gęste zastępy robotników zajętych przygotowaniem obszernego skrawu ziemi pod wystawę ogrodniczą... Nawet domyślać się trudno co tu z wiosną powstanie! Wiemy tylko, iż cieplarnia mająca dźwignąć się na przeznaczonym miejscu będzie cackiem kunsztu ślusarsko-artystycznego, w którym ogrodnicy nasi dadzą koncert *féerique*. Pomińmy pawilon dziennikarski — który jakby ciekawski, a niedyskretny nieco *comme de raison* reporter — na czoło się wysunął. Przejdźmy też nie zatrzymując się długo obok panoramy. Bije ona w oczy... ogromem i prostotą formy. Jest to budowla najspieszniej postawiona, długo też przeto ściągała oczy wszystkich, zanim inne budynki w pobliżu wzniesione, nie zatępiły trochę widoku... Mówiąc o jej stronie zewnętrznej, co do której jak wiadomo z natury rzeczy estetycznymi względami kierować się nie

można, powiedzmy otwarcie i szczerze iż... nadobna nie jest... Na wysunięciu naprzód drobniejszych pawilonów, a częściowo na zasłonięciu drzewami nie straci ona niezawodnie, ze względu zaś na inne budynki usunięcie jej w cień wydaje się bardzo pożądanem. Budynek panoramy to tylko konieczna osłona bez pretensyi do wartości architektonicznej osłona wszakże jednego z najświetniejszych okazów całej wystawy, batalii pędzla Kossaka i Styki!... Budynek panoramy zyska zresztą wkrótce wdzięczny nader... parawan, od strony głównej drogi. Oto w tych dniach stawiać już zaczął — na placu wolnym między panoramą a drogą — oryginalny co do stylu a wielce miły dla oka pawilon ks. Lubomirskiego, planowany przez głośnego z inwencji i fantazyi krakowskiego architekta p. Talowskiego.

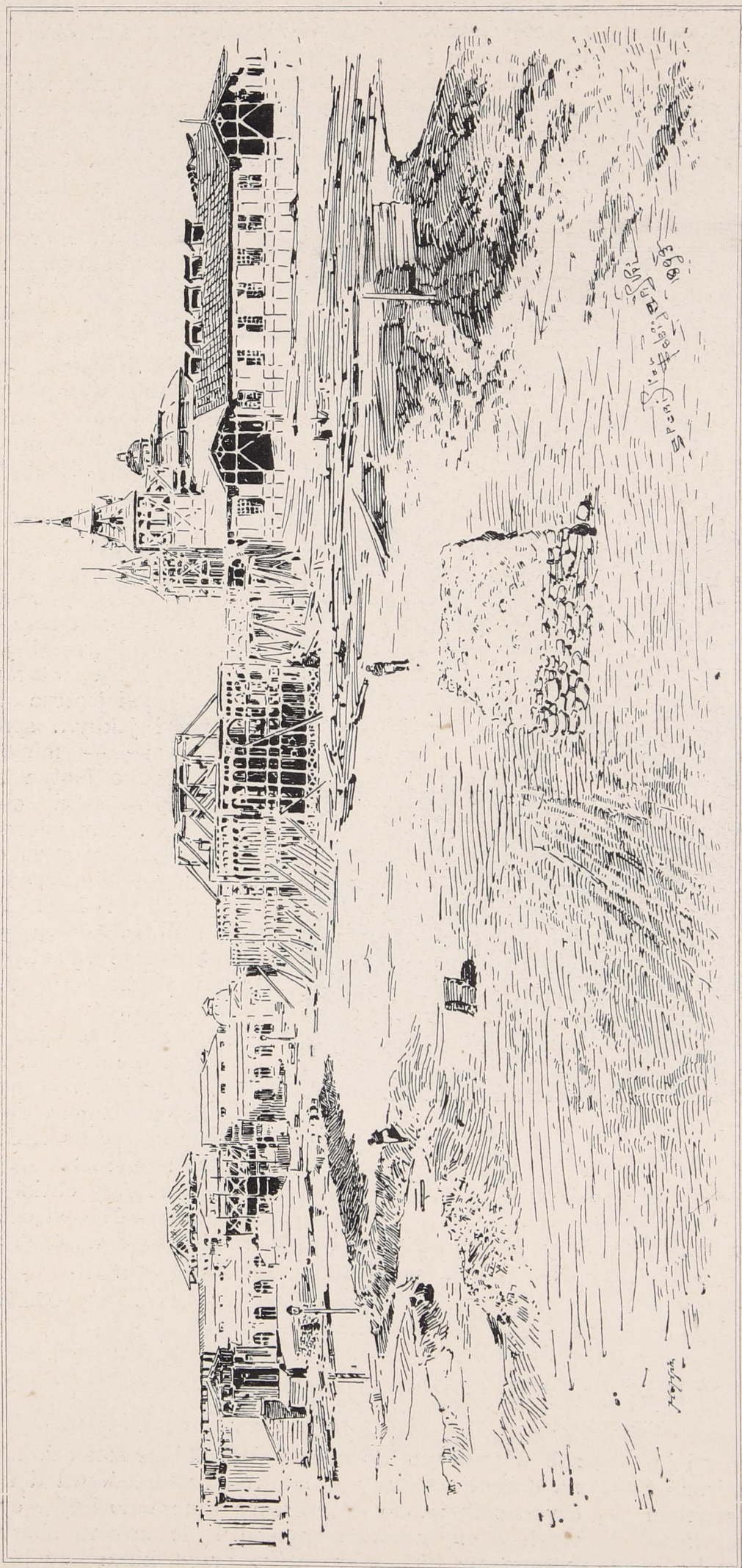
Minawszy dziennikarstwo i panoramę widzimy przed sobą na osi drogi głównej obszerny plac, w środku którego założono duży basen. Ozdobi go wodotrysk wykonany jako przedmiot wystawowy przez inż. Goebła, według szkicu nadinż. Skowrona. Jestto pierwsze centrum wystawowe. Plac ten okalają w opisanej eliptycznej formie najważniejsze budynki, znane już czytelnikom naszym z szkiców w numerze poprzednim i dziś tu powtórzone, a mianowicie: gmach przemysłowy, pałac sztuki, pawilon architektury, pawilony szkolne, i pawilon m. Lwowa; nadto stanie tu sporo pawilonów prywatnych. Z wymienionych budynków najbliższe końca są pawilony: dyrekcyi, przemysłowy, sztuki i architektury.

Gmach przemysłowy stojący na wznoszącej się łagodnie zgrabnie założonej rampie jest najobszerniejszą budowlą, zajmującą około 3.500 metrów kwadratowych! Z uwagi na tak znaczny wymiar, a więc i koszt, oraz na stosunki przemysłowe naszego kraju wydawała się konstrukcja drzewna najwłaściwszą. Nie odpowiadałoby to istotnym warunkom kraju a tem mniej przemysłowi miejscowemu, ażebyśmy dźwigali gmach przemysłowy z żelaza, starając się zwracać wzrok na konstrukcję, jakiej — niestety — w tej chwili wyrobić tu nie możemy... Twórca gmachu nadinż. minist. p. Skowron zastosował się do tych warunków, zrozumiał myśl i intencję dyrekcyi wystawy i zaprojektował gmach o konstrukcyi czysto drewnianej, tak konsekwentnie i szczęśliwie przeprowadzonej, że uniknął najzupełniej wszelkich imitacji muru, żelaza i zapożyczonych z tych konstrukcyj ozdobnych form, nawet w najdrobniejszych szczegółach! Mimo to i mimo szczupłe na cel tej budowli fundusze, gmach przemysłowy należy już dziś do najpiękniejszych a partya środkowa — zainicjowana i rzucona śmiało — zwraca powszechną uwagę. Przedsiębiorcy tego gmachu pp. Gryglaszewski i Krykiewicz wykazali też przy budowie tej nadzwyczajną energię; należy nadto oddać słuszną pochwałę młodemu architektce p. Boublikowi, inspicjentowi budowy, który na podstawie szkicu autora opracował cały projekt, sporządził szczegóły i całą budowę wyśmienicie kierował.

Budynek przemysłowy założony w formie litery **E** jest w wszystkich traktach jednako szeroki (16 m.) a podzielony dwoma rzędami podpór, tak iż przedstawia trzy otwarte nawy, z których środkowa ma szerokości 7, boczne zaś po 4½ metra. Partya środkowa występująca naprzód, bogato dekorowana, a nakryta kombinacją dachu o piramidalnej formie z kopułą kątową, dosięga z zewnątrz 30 m. wysokości. Skrzydła boczne zakończone są wieżami i bocznymi portami.



lami. W tych zaakcentowanych miejscach budynek jest i wewnątrz wyższy aniżeli w skrzydłach bieżących, gdzie wysokość w świetle dosięga tylko 6 m.



POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA.

Gmach przemysłowy, wykonany w całości z drewna nieheblowanego, ma być wedle intencji autora tak wewnątrz jak i zewnątrz polichromicznie ozdobiony.

Nawet dachy kryte papą otrzymają barwną powłokę. Słowem innowacya, jak u nas, prawdziwa! Spółka malarska braci Fleck znoi się już od miesiąca nad pró-

bami polichromii o motywach czysto rodzimych... Od trafnego doboru tej okrasy zależeć będzie w znacznej części efekt całego gmachu; jeśli ozdoba barwna wypadnie *arte*, gmach przemysłu stanie się niewątpliwie tem, czem być powinien i bywa: sercem i perłą ekspozycji. Koszt pawilonu nie dosięgnie prelimitowanej kwoty 60.000 złr.

Po przeciwnej stronie placu wzniesiono pałac sztuk pięknych. I o tym budynku rzecz można krótko, iż nie zle wiedzie oczekiwania publiczności i tym wymagających artystów. Od samego początku akcji wystawowej zajmowano się tym przybytkiem sztuki najgoręcej. Przeznaczono nań miejsce najefektowniejsze, z przedziwnym widokiem na gród Lwa, prelimitowano sumę 70.000 złr. i zgodzono się, aby pawilon zbudowany był z materiału ogniotrwałego i pozostał stale jako budynek miejski na cele wystaw peryodycznych, albo jako *kursalon* parku... Konkurs rozpisany na szkice wystawowych budynków co do tego gmachu wyjątkowo niemal dopisał... Uchwalono wykonać pałac sztuki na podstawie nagrodzonego planu nadinż. minist. Skowrona. Autor na życzenie dyrekcyi udał się do Monachium i jał studyować najpraktyczniejsze oświetlenia, oraz zbierać wskazówki czysto praktyczne od artystów naszych. Brandt i Czachórski uznali plan p. Skowrona za bardzo odpowiedni; Czachórski zaś nie szczędził czasu i móżółów, iżby wtajemniczyć naszego architekta we wszystkie konstrukcje i sposoby w ostatnich czasach przy wystawach obrazów zastosowywane, a które uwzględnić u nas należało. Architekt przywiózł z Monachium wyborne informacye i teraz pod jego okiem przystąpiono do wykonania planów. Budowa przypadła energicznemu i fachowemu niepospolicie pp. Chołojewskiemu i Godowskiemu, inspicjenturę wziął na siebie wytrawny i zdolny architekt p. Pezański. I oto w przeciągu kilku miesięcy, wśród najniepomyślniejszych warunków atmosferycznych, przy *divertissement* strejkowem, doprowadzono budowlę do tego stopnia, iż dziś — prócz pewnych robót wewnętrznych — jako gotową uważać ją można.

Układ wewnętrzny budynku nadzwyczaj prosty. Na głównej osi założony vestibul, za nim środkowa wysoka hala przeznaczona na rzeźbę i duże obrazy, a dalej portal prowadzący na tarasę od strony parku. Na prawo i lewo od hali dwie sale podłużne z gór-

WIDOK OGÓLNY.  
(PAWILON ARCHITEKTURY, PAŁAC SZTUKI, PAWILON SZKOLNE, GMACH PRZEMYSŁU, PANORAMA).



nem światłem a na obwodzie jej pomniejsze ubikacje wystawowe. Na czterech punktach narożnych wytwarzają się cztery kwadratowe salony. Hala środkowa i dwie większe boczne otrzymają światło górne z oberlichtów i okien górnych, inne prócz sal na wystawę retrospektywną, która jest sklepiona, mieć będą światło górne i boczne. Wszystkie otwory świetlne rzucać będą światło nie bezpośrednio do sal, lecz na plafon utworzony przez rozpięty czeski perkal zwany bombassiną. Obok tego i okna otrzymają zasłony z tej materii. Tak osłona plafonów jak i okien będzie mogła być co do siły światła odpowiednio regulowana. Zasada ogólną jest dać możliwość wyzyskania jak największej ilości światła, które w razie potrzeby pozwoli się temperować. Od strony parku umieszczono schody na terasę w wysokości metra prowadzące, z kąd widok na miasto. Nadto na wysokości podłogi budynku urządzono od strony parku obszerną terasę z wodotryskami, z kąd wprost zejść można do parku.

Zewnętrzna strona budynku przedstawia się jako poważne spokojne rozwiązanie w stylu renesansu włoskiego. Część nad westibulem ma na zewnątrz fasadę przypominającą łuk tryumfalny, na którego atyce umieści grupę alegoryczną rzeźbiarz p. Maskowski. Obok drzwi głównych dwie nisz, również z figurami. Dach nad hallą środkową — znacznie wzniesioną — płaski, zdobi attyka, nad nią cztery obeliski. Nad narożniami salonami wznoszą się wdzięczne w liniach kopuły otoczone kandelabrami.

Całość sprawia wrażenie budowli monumentalnej, odpowiadającej stylem i wykonaniem przeznaczeniu; dziś też słysząc już głosy, iż pałac sztuk pięknych nie tylko nie ustąpi podobnym budowlom na większych nawet wystawach, ale od niektórych z nich okaże się właściwszym i świetniejszym.

Na wyniesionem sztucznie kilka metrów miejscu stoi opodal pawilon architektury, w stylu czysto-greckim, jako kombinacja świątyni jońskiej z dorycką, obie systemu *amphiprostylos*. Bardzo to szczęśliwa myśl pawilon taki dla dzieł architektonicznych... Gre-

cya to dostarczyła pierwowzorów, które dotąd niezachwiany stanowią dogmat architektoniczny. Projekt pawilonu podał znów nadinż. Skowron, opracowanie szczegółów i dozór budowy powierzając młodemu technikowi p. Królikowskiemu.

Budowa niewykończona; nie masz dotąd akroteryi, wikto-ryi, brak sfinksów u wejścia z tarasy do świątyni (rzeźbi je p. Błotnicki), otoczenie świątyni jeszcze surowe i jakby... sprofanowane — mimo to wszystko budynek oblegają setki ciekawych, tem więcej, iż budowli w stylu czysto greckim Lwów nie posiada żadnej. Polichromia wierna greckiemu zwyczajowi przydałaby się pawilonowi...

Oto... co było dziś do nadmienienia, a co stanowi konieczny akompaniament do rysunków w dwóch *Świata* numerach.

Ktoby chciał dowiedzieć się więcej, ra-

czy pofatygować się do biura dyrekcji wystawowej; ma zaś je w pobliżu... na rycinie! (Str. 536).

CELLO.



APOLINARY JAWORSKI  
MINISTER DLA GALICJI.

## KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

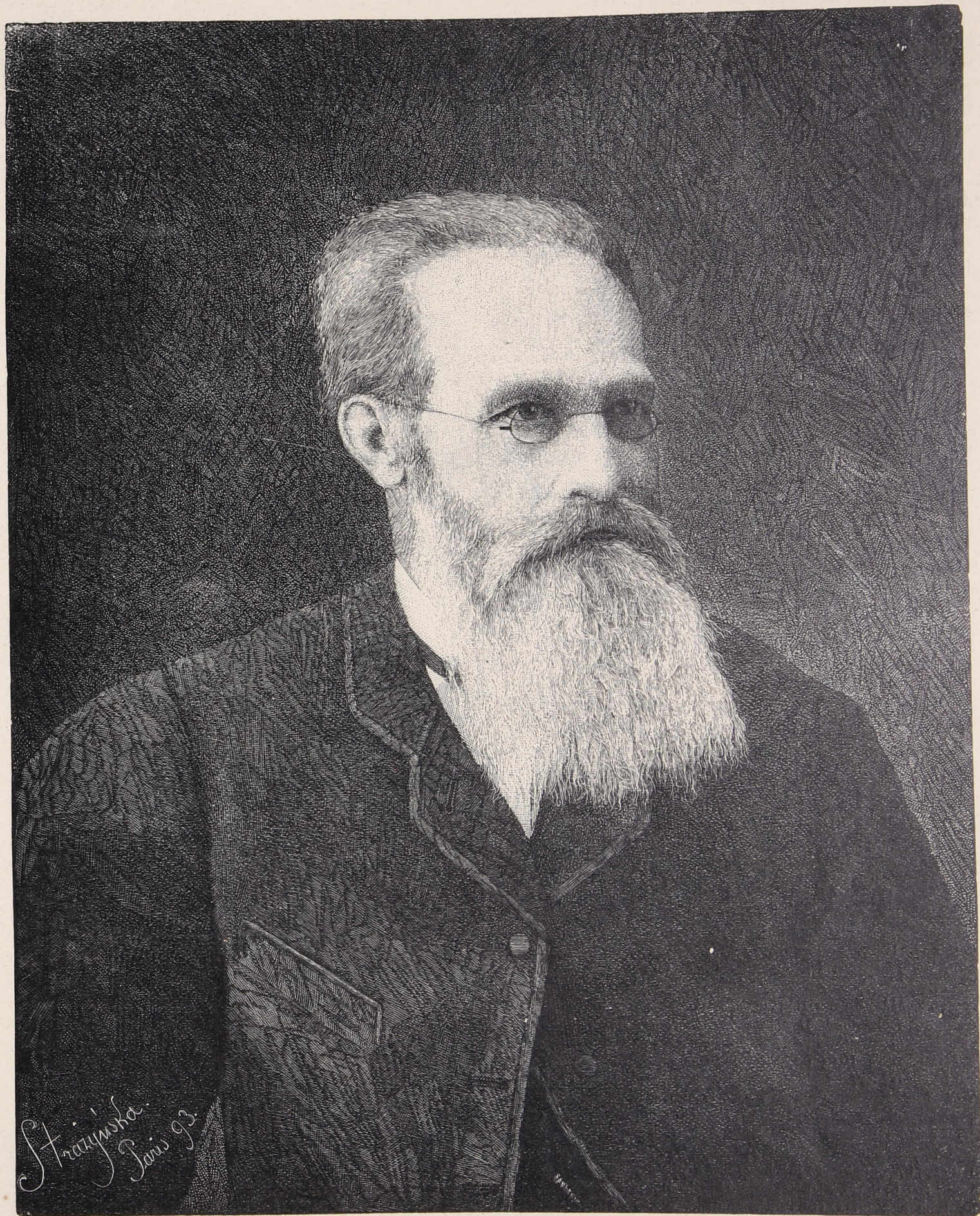
(Ciąg dalszy).

Morstin znikł z oczu świata po czwartkowej justyfikacji. Dopiero 20 marca uchwalono odroczyć proces do następnego sejmiku. Królowi wraz z senatem polecono jednakże rozstrzygnąć jak najprędzej kwestye pewne, mające głównie na celu ubezpieczenie się przed intrygami podskarbiego. Istotnie w ostatnich dniach marca zapadł wyrok. Wyrokiem tym zobowiązywano Morstina nie zrywać trwającego sejmiku,

zobowiązywano do wystawienia kilku setek żołnierza na obronę ojczyzny w »dowód posłuszeństwa dla rzezypospolitej«, do dostarczenia klucza do listów cyfrowych w ciągu ośmiu tygodni i do zwrotu skarbowi koronnemu klejnotów, które przed kilku laty biskup krakowski Andrzej Trzebicki uwolnił z zastawu, a on własnowolnie znowu zastawił; nadto ponieważ odsłaniał, zdradzał zamiary królewskie i »zaciągnął obli-



WANDA STRAŻYŃSKA.



PORTRET CIĘTY PODŁUG FOTOGRAFII.

(Patrz kronikę str. 543).



gacye względem innej strony» wykluczono go na przyszłość od uczestniczenia w radach senatu i sejmu i wezwano do złożenia urzędu podskarbiego<sup>1)</sup>. Krewniacy Morstina: starosta kowalski, chorąży zatorski i zięć Bieliński przyjęli w imieniu obżalowanego warunki. Ze względu na odroczenie procesu w sprawie zdrady stanu i skarbu miał Morstin pozostać nadal pod dozorem wielkiego marszałka koronnego, a dozór ten zastępujący zamknięcie w areszcie dekretem jeszcze nie obłożonego szlachcica, polegał na udzieleniu słowa honoru królowi, że obwiniony granic Rzeczypospolitej nie opuści<sup>2)</sup>. Były to zatem środki ochronne przeciw wicherzom Morstina, a tylko jeden punkt o klejnotach zmierzał do wczesnej rewindykacji własności narodowej. Mianowicie biskup Trzebiński otrzymał w zastaw za pożyczkę 45.000 zł. p. na żołd dla wojska dwa dyamenty ze skarbu koronnego, jeden rzezany w triąguł, z tablicą rubinową na wierzchu i perłą wiszącą, okrągłą u spodu, drugi rznięty w kształt szyby, ozdobiony również tablicą rubinową i czterema dyamentami i tyłuż rubinkami w kaszcie. Sztuki te były oszacowane na 2.300 czerwienców<sup>3)</sup>. Wykupione z uchwały sejmu nadzwyczajnego 1677 roku wróciły w każdym razie przed śmiercią biskupa w 1679 roku do skarbu na chwilę, albowiem zabrał je zamtąd niebawem samozwańczo Morstin i zastawił w Paryżu, prawdopodobnie w czasie sprawowania znanej ambasady. Wszelkich tranzakcyj, wymiany, ustanawiania ciężarów na klejnotach koronnych mógł dokonać sejm, a skoro ubiegły grodzieński nie dał żadnego pełnomocnictwa Morstinowi w tym kierunku, musiał istotnie na własną rozporządzić niemi rękę. Przedkładając na sejmie 1683 roku »sumaryusz komisji klejnotowej« wyraził Morstin gotowość wykupienia pomienionych kosztowności, jeżeli stany zwrócą mu sumę ich szacunkową w ilości 2.300 czerwienców. Nieprawdopodobnem zatem zdaje się, aby żądał oddania tak znacznej kwoty, gdyby rzeczywiście z swoich osobistych funduszków nie wyłożył pieniędzy na cele jakiejś użyteczności publicznej. Może z powodu pustek zalegających skarb posłużył się własnym kapitałem i w zamian — tytułem ubezpieczenia wziął dyamenty, może zamierzał upewnić się w ten sposób co do jakiejś pożyczki wyasygnowanej Rzeczypospolitej, a może chciał pokryć część wydatków na podróż do Paryża, z nakazu sejmu grodzieńskiego odprawioną<sup>4)</sup>,

<sup>1)</sup> Żałuski: Epist. histor. famil. T. I. p. 2. str. 809, sq. Uniwersał Jana. 3 maj, 1683. Podobne punkta u Coyer'a: Histoire... etc. T. II. str. 235. — Theatrum Europaeum. T. XII. str. 570. sq. niedokładne wyliczenie.

<sup>2)</sup> Beaujeu: Mémoires. str. 479. — »Respons marszałka w. k. wojewodzie ruskim« dnia 21 września 1683. — Archiw. X. X. Czartor. »Teki Naruszewicza«, nr. 179.

<sup>3)</sup> Na sejmie roku 1683 podnoszono różne wątpliwości co do porządku w skarbie Rzeczypospolitej pomimo odłożenia procesu przeciw Morstinowi i wyznaczono nawet osobną komisję dla zbadania prawdziwego stanu rzeczy, która jednakże ani czasu ani sposobności nie miała, aby złożyć sprawozdanie. Natenczas to przedłożył Morstin »sumaryusz komisji klejnotowej«, sporządzony na podstawie ostatniej rewizji z roku 1676, oznaczającej wartość wszystkich klejnotów Rzeczypospolitej na 101 670 czerwonych złotych. Z summaryusza tego i uniwersału króla Jana z 3 maja 1683 dowiadujemy się, że klejnoty omawiane, były w przeszłości w zastawie u Trzebińskiego i posiadały wartości szacunkowej 2,300 czerwienców. Jak widać z aktu rewizji skarbu koronnego w roku 1676, były one złożone w dziesiątej szkatule skrzyni pierwszej. Rykaczewski E. Inventarium omnium et singulorum privilegiorum etc. str. 480. Akt rewizji i summaryusz.

<sup>4)</sup> Przypuszczaby można, że Morstin z 2.300 cz. zł. p. wydał 596 na wojsko, albowiem taka pozycja wiąże się ze wzmianką o klejnotach niegdyś u Trzebińskiego zastawionych. Niestety w summaryuszu Morstina z roku 1683, panuje pod tym względem niejasność, nie wie-

Morstin niedawno jeszcze potężny i wpływowy senator tracił wskutek przyjęcia warunków podyktowanych przez Jana wszystko, co blasku siły i uroku mu użyczało, co go wyniosło na naczelne stanowisko kierownika stronnictwa rywalizującego o zwycięstwo z dworem, tracił wstęp do sejmu, wobec czego zastrzeżenie o zerwaniu miało na celu uzyskanie słowa, aby nie skłaniał zwolenników swoich do założenia protestu, tracił znamienity urząd a wraz z nim praktyczne znaczenie i powagę, musiał spełnić w obliczu całej Polski pewien rodzaj pokuty, wyrzec się zapraństwa względem ojczyzny przez wystawienie zbrojnej garści żołnierza, przeznaczonej do przelewania krwi w wojnie, od której próbował odwieść naród za francuskie pieniądze. Morstin wyzuty z władzy, zbezczeszczonej, mógł tylko wlec za sobą cienie wczorajszej wspaniałości, dziś spadł on do rzędu pospolitych ludzi. Dwór rzucił skuteczny postrach; zapomocą nacisku powierzchownego osiągnięto wynik taki sam jakby najsurowsze rozwinięto postępowanie procesowe; unieruchomiono największego wroga ligi. Odroczenie sądu uchodziło powszechnie za środek zabagnienia sprawy, ale czyż Jan naprawdę życzył sobie otworzyć furtkę Morstinowi i wybawić go z rozpaczliwego położenia? Zauważyliśmy jak król usiłował prywatnie odsłonić intrygi Morstina, jak nawet w chwili gdy oskarżenie przed stanami ferowano zawahał się, gotów był je cofnąć i sam się w sędziego zabawić. Potem gdy nie powiodły się próby uśmierzenia kontrowersji w murach zamkowych i konieczną okazała się interwencja sejmu, wówczas Jabłonowskiego, Sapiehów, Lubomirskiego, z widowni niemal usunięto, z poklaskiem wysłuchiowano ich tłumaczenia, a cały prąd gwałtowności, cały rankor naturalny i sztucznie podniecony skierowano na podskarbiego. Była to wielce pomysłowa taktyka, podawała ona rękę ocalenia wszystkim prócz Morstina, aby zarobić sobie na wdzięczność ocalonych. Surowość terorystyczna mogłaby obudzić hamowaną dotychczas reakcję; proces wytoczony kilku szlacheckim królewietom, grożący powołaniem do odpowiedzialności podrzędniejszych, niewysłyszanych jeszcze aktorów francuskich zamachów politycznych łatwoby podkopał sejm, gdyż wszyscy podejrzani i obwinieni ze względu na osobiste bezpieczeństwo nie omieszkaliby złożyć się na wspólne liberum veto. Oskarżenie dlatego ciężarem swoim przygniotło Morstina wyłącznie, a przez to zawartość i objętość występków niem objętych wprowadzić się nie rozszerzyła, ale dziwnej nabrała wydatności. Wina przecież maleje raczej w oczach ludzkich jeżeli ją kilka dzieli osób, niż jeżeli obarczy pojedynczego człowieka, choćby tej winy był pierwszym i ostatnim intelektualnym sprawcą...

Wybiła dla Jana wreszcie utęskniona godzina... Na ruinie stanowiska Morstina, na ruinie partyzantów Ludwika, podpisano traktat obowiązujący obie strony do wzajemnego posiłkowania się dnia 1 kwietnia, a na dokumencie położono datę 31 marca, aby odjąć szlachcie z obozu francuskiego sposobność przepowiadania złych wróżb z powodu prima aprilis i posądzania cesarza o zamiar zgotowania Rzeczypospolitej gorzkiego zawodu...

\* \* \*

dzień nawet do kogo stosuje się odnośny zwrot. W rewizji skarbu koronnego z roku 1686 nie wspomniano o tych klejnotach. (Liber relationum castri Cracov. nr. 113. str. 154—179 rkp.) — Morstin drobniejsze i większe kwoty dawał na pożyczkę Rzeczyposp. Ostatnia z roku 1682 wynosiła kilkadziesiąt tysięcy na upominki tatarskie. (A. h. P. T. VI. nr. 2.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

ERNEST DEICHES.



## KRONIKA.

\* Wielki Wydział krakowskiej Kasy Oszczędności na przedstawienie dyrektora Franciszka Słęka w czasie walnego posiedzenia odbytego w d. 23 listopada uchwalił: dodatkowo jeszcze na restaurację kaplicy Zygmuntowskiej sumę 10.000 złr. oraz subwencję dla wystawy krajowej we Lwowie 1.500 złr.

\* Ś. p. Jan Matejko w końcu czerwca b. r. darował prof. Drowi Korczyńskiemu na fundusz budowy domu akademickiego w Krakowie jedynastce własnoręcznych kartonów, według których uczniowie jego wykonali obrazy, zdobiące aulę Politechniki lwowskiej. Nie wątpimy, że obecnie łatwo na rysunki te znajdują się nabywcy, a tem samem spełni się szlachetny zamiar mistrza, który szafując hojnie swemi pracami, nie zapomniał o instytucji, oddać mogącej w przyszłości rzeczywisty pożytek społeczeństwu. Dodać należy, że prof. Dr Korczyński oddawna już otaczał Matejkę swą opieką lekarską.

\* Pomieściliśmy w dzisiejszym zeszycie *Świata* portret Alfreda księcia Windischgrätza, prezydenta nowego ministerium w Wiedniu i Apolinarego Jaworskiego ministra dla Galicji; w następnym numerze damy portret prof. Dra Stanisława Madeyskiego, obecnie ministra wyznań i oświaty.

\* Księgarnia H. Altenberga we Lwowie wydawać zaczęła *«Pieśń legionów»*, która — jak wszystkim wiadomo — jest naszym hymnem narodowym. Leży przed nami wspinały zeszyt pierwszy, obejmujący reprodukcje heliografiur trzech prześlicznych oryginalnych rysunków Juliusza Kossaka. Pierwszy, pełen polotu poetycznego i zapału patriotycznego, tworzy kartę frontysoisową; drugi wyobraża Dąbrowskiego na czele szeregów, prowadzącego młodych żołnierzy *«z ziemi włoskiej do Polski»*; trzeci — który przeskoczył parę wierszy — przedstawia naszych dzielnych ułanów, którym *«Bonaparte dał przykład jak zwyciężać mają»*. Znakomity artysta w kompozycje swe, postacie, tła i akcesorya wlał całą duszę, całą męską energię, tak pięknie charakteryzującą jego talent. Reprodukcy z dokładnością autograficzną odwzorował każdy zwrot pędzla naszego nieporównanego malarza-batalisty. Cztery stronicie tekstu pióra prof. Dra Ludwika Finkla rozświecać zaczynają genezę i dzieje pieśni z właściwą temu historykowi ścisłością i sumiennością krytyczną. W następnych zeszytach znajdziemy prawdopodobnie i pieśń samą w autentycznym odpisie, tu spostrzegamy tylko doskonały portret jej autora, bardzo ładnie wykonany według wizerunku Bacciarellego. Całość miła, piękna i cenna znajdzie się prawdopodobnie w każdym domu polskim w Galicji i w W. Księstwie Poznańskim, bo do trzeciego zaboru zamknie jej drogę cenzura rosyjska.

\* W *«Bibliotece poezji wszechświatowej»* (*Sborník poesie světové*), wydawanej przez Akademię czeską, wyszedł po pięknym tłumaczeniu *«Konrada Wallenroda»* przez poetę i redaktora *Lumira* J. V. Sládka (Nr. 2), oraz po nowym cyklu poezji Asnyka w odтворzeniu Fr. Kvapila (Nr. 11), — nader szczęśliwy przekład *Balladyny*, pióra Ottokara Mokrego. Tłomacz, znany w Czechach poeta (*«Melodye z południa czeskiego»* 1880, *«Poezye»* 1883, *«Dumy i legendy»* 1888) i nowellista (*«Opowiadania i drobne szkice»*, *«Opowiadania i arabeski»*), przed laty już obdarzył rodaków swych dwoma tomami przekładów ze Słowackiego. Na pierwszy złożyły się: *«Ojciec zadżumionych»*, *«Jan Bielecki»*, *«W Szwajcaryi»*, *«Arab»*, *«Mnich»* i *«Lambro»*; w drugim znajdujemy trzy powieści: *«Žmija»*, *«Wacław»*, *«Hu-*

*go»*, oraz szereg utworów lirycznych z *«Poezyi pośmiertnych»*, między innemi: *«Rzym»*, *«Rozłączeni»*, *«Hymn o zachodzie słońca na morzu»* i *«Grób Agamemnona»*. Wybór ten nie jest bez zarzutu. Tłomacz przewidział to — i w przypisku do II-go tomu podał powody, dla których *«Balladynę»*, *«Lillę Wenedę»*, *«Kordyana»*, *«Mazepę»*, *«Króla ducha»* i *«Benio-wskiego»* zmuszony był odłożyć na później. *«Balladynę»* już mamy; snadź i następne wymienione poematy pójdą za nią. Co do wartości przekładów, równie dawniejszych jak ostatniego, rzec można śmiało, iż tłumacz nie zdradził autora. Nie osiągnął rzeczy niedościgłej: olśniewającej świetności języka, ale — przy wielkiej wierności przekładu — zachował całą poezję oryginału i wszystkie jego tak rozmaite nastroje. Czytelnicy czescy (a może i słuchacze, bo chodzą wieści o projekcie wystawienia *«Balladyny»* na scenie praskiej) odczuć będą mogli, dzięki Mokremu, cały czar fantastycznego poematu, który — mimo pedantycznie zarzucanych reminiscencyj szekspirowskich — tak głęboko jest naszym i tak porywająco pięknym. — Przekład *«Balladyny»* dedykowany jest: *«rzadkiemu i pełnemu zapachu miłośnikowi poezji czeskiej, poecie Miriamowi (Z. Przesmyckiemu)»*.

\* Choć późno, wspomnieć jednak chcemy — skoro już o przekładach ze Słowackiego mowa — o wybornym tłumaczeniu niemieckiem *«Lilli Wenedy»* pióra Henryka Monata. *Świat* drukował niedawno rozprawkę tegoż autora o *«Anhellim»*, z której miłośnicy i znawcy Słowackiego poznać mogli od razu, iż mają do czynienia z jednym ze swoich. Przekład, o którym mówimy (wydany w *«Bibliothek der Gesammt-Litteratur»* Hendel'a), stwierdza to raz jeszcze wybitnie. Aby tak przełożyć, trzeba — będąc wielkim artystą — wżyć się jeszcze w Słowackiego całkowicie, mieć go za biblię żywota. Zwłaszcza z głównego elementu tragedyi, jakim jest potęga i groza w łamaniu się ludu, nie urobił tłumacz ani żdźbła. Doskonale, charakterystycznie wyszła też rodzajowa postać Ślaza. Mniej nieco zadowala nas oddanie gołębio-łkliwej, a prostoty pełnej Lilli. Henryk Monat nie jest zresztą nowicuszem na polu przekładów z poezji naszej, że wspomnimy tu tylko — ze względu na obchodzony tak niedawno jubileusz K. Ujejskiego — pięknie przez młodego tłumacza w języku niemieckim odtworzone i sumienną notatką wstępą poprzedzone *Tłumaczenia Szopena*. I tam też silniejsze miejsca najlepiej są — według nas — oddane, acz i figlarnym Mazurkom trudno coś zarzucić.

\* Sewer, po niebezpiecznym wywichnięciu nogi — o którym już wspominaliśmy — powraca obecnie do zdrowia, dzięki starannej opiece lekarzy. Utalentowany powieściopisarz spędzi całą zimę w Krakowie.

\* Juliusz Kossak wykończy obecnie dużą przepyszną kompozycję akwarelową przedstawiającą hetmana Jana Tarnowskiego, wynagradzającego swych rotmistrzów po bitwie pod Obertynem. Jeden z nich, Gniewosz, otrzymuje pysznego tureckiego rumaka. Całość wre życiem i tą werwą, pełną niegasnącej siły młodzieńczej, jaką odznaczają się zawsze niepospolite utwory Kossaka.

\* Kazimierz Zalewski, który kilka dni bawił w Monachium, napisał do *Kuryera Warszawskiego* fejtton szeroko omawiający najnowszy obraz prof. J. Brandta. Utalentowany komedyopisarz twierdzi, że na wystawie monachijskiej znalazł *«wiele dzieł pierwszorzędnych»*, ale żadne z nich tak silnie go do siebie *«nie przyciągnęło, nie porwało, nie wstrzą-*

*snęło dreszczem zachwyty»*, jak kompozycya Brandta.

\* Korespondent *Nowoje Wremia* zwiedził w tych czasach pracownię Henryka Siemiradzkiego w Rzymie. Wyraża się on z wielkimi pochwałami o prześlicznej kurtynie dla teatru krakowskiego, wykończanej przez mistrza, tudzież o nowym jego obrazie *«Męczennica chrześcijańska»*. Nadto znajdujemy w sprawozdaniu wspomnianego dziennikarza następujące wyrazy: *«Siemiradzki posiada cenny przymiot, właściwy tylko wielkim talentom — nigdy nie mówi źle o żadnym ze swych kolegów — starając się upatrywać dobre strony nawet w kierunkach, które są dlań antypatycznymi. O malarzach zaś bliskich sobie duchem wyraża się zawsze z zachwytem i miłością.»*

\* Jan Gall, ilustrujący w ostatnich czasach najpiękniejsze liryczne utwory poezji naszej, napisał świeżo śliczną melodyę do ballady Asnyka *«Czary»*, do wiersza tegoż *«Gdybym był młodszy»*, do *«A więc kochaj»* Narczyży Żmichowskiej i do *«Tęsknoty»* Maryi Konopnickiej. Ostatnie trzy pieśni wydała bardzo wytwornie czynna i coraz szersze uznanie zyskująca sobie firma księgarska Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie.

\* Wanda Strażyńska, Krakowianka, stypendystka Wydziału krajowego, początkowe nauki pobierała w Krakowie, obecnie kurs roczny drzeworytnictwa ukończyła z nagrodą w Paryżu, dokąd udaje się jeszcze na rok następny w celu dalszego kształcenia się. Ma zamiar po ukończeniu studiów otworzyć w rodzinnem mieście pracownię i szkołę. Dajemy w dzisiejszym numerze *Świata* jej drzeworyt konkursowy, przez jury paryskie nagrodzony, wykonany według ostatniej, *najświeższej*, doskonałej metody, który pięknie świadczy o znakomitej technice utalentowanej artystki. Dodajemy, że drzeworyt ten nigdzie nie był reprodukowany i po raz pierwszy ukazuje się w *Świecie*.

\* Na walnem posiedzeniu Akademii Umiejętności prezesem instytucji na następne trzechlecie obrany został ponownie Stanisław hr. Tarnowski. Uchwalono także budżet na rok przysły, a na wzmiankę zasługuje nowo wstawiona do budżetu pozycja na rozpoczęcie prac około wydania *«Słownika języka polskiego»*.

\* Dr Feliks Koneczny wygłosił w sobotę w sali miejskiej pierwszy bardzo piękny odczyt, wchodzący w skład kursów zakładu im. Baranieckiego. Mówić będziemy o tym odczycie później.

\* Pius Weloński, wykończył w tych czasach nowe dzieło, noszące nazwę *«Kalina»*. Piękny ten utwór znakomitego rzeźbiarza wysłany już został do Warszawy, na wystawę Tow. zachęty sztuk pięknych.

\* Pius Weloński, o którego najnowszym posagu wspominaliśmy wyżej, chętnie opuszcza nie raz dłużej, aby pochwycić pędzel i tworzyć duże religijne kompozycje. Obecnie wykończył on wielki obraz przedstawiający *«Wniebowstąpienie Pańskie»*. Dzieło przeznaczone dla katedry w Płocku. Nie pierwsze to płótno znakomitego rzeźbiarza. W kościele św. Karola na Corso w Rzymie wisi jego *«Św. Olaf»*, patron Norwegii, zamówiony i nabyty przez stowarzyszenie skandynawskie, a galerja hr. Potockich w Krzeszowicach posiada obraz jego *«Błędne ognie»*, bardzo chwalony przez znawców.

\* Na jednym z ostatnich posiedzeń komitetu wykonawczego wystawy krajowej we Lwowie, uchwalono wprowadzenie w życie projektu prof. Maryana Sokołowskiego urzą-



dzenia wystawy dzieł Matejki i na ten cel przeznaczono największą i najpiękniejszą salę w pałacu sztuki.

\* Koncert na rzecz pomnika Oskara Kolberga, urządzony staraniem Władysława Żeleńskiego i Jana Galla, odbędzie się w sali Hotelu Saskiego w d. 4 grudnia. Tak cel, jak program i współudział doskonałych wykonawców biorących udział w tej uroczystości muzycznej, powinien ściągnąć licznych słuchaczy.

\* P. Napieralski, redaktor i wydawca *Katolika* wychodzącego w Bytomiu, gościł w tych dniach w Krakowie dni parę.

\* Dr Ignacy Rosner, wielce utalentowany publicysta, współredaktor *Czasu*, zamianowany został przez namiestnika komisarzem powiatowym, a nowy minister S. Madeyski powołał go do pełnienia służby w ministerium oświaty i wyznań. Młody dziennikarz i literat opuścił w tych dniach Kraków, aby się udać do Wiednia dla objęcia posady. Nie wątpimy, że i na nowym stanowisku znajdzie czas na prace z dziedziny publicystyki i piśmiennictwa pięknego.

\* Na dorocznym publicznym posiedzeniu Akademii francuskiej ogłoszono — jak zwykle — listę tegorocznych laureatów, pomiędzy którymi znajdujemy nazwisko p. K. Waliszewskiego, znanego pracownika na niwie dziejopisarskiej. Otrzymał on nagrodę za dzieło swe o carowej Katarzynie II, które rozchodzi się obecnie już w siódmym wydaniu p. t. *Le roman d'une impératrice*.

\* Wieniec srebrny dla s. p. Jana Matejki od Wydziału krajowego uchwalił tenże Wydział doręczyć rodzinie zgasłego mistrza.

\* Utalentowany artysta-malarz De Lavaux gości w Krakowie kilka tygodni. Maluje on tu obraz bardzo interesujący, po ukończeniu którego wraca do Paryża.

\* W dniu dzisiejszym rozpoczyna się sprzedaż »gwiazdkowa« studyów i szkiców artystów naszych w księgarni p. Barańskiego przy ulicy Floryańskiej.

\* P. Frist, posiadający sklep papieru i materiałów rysunkowych przy ulicy Floryańskiej, który oddawna już pośredniczył z powodzeniem w handlu dziełami sztuki, ma zamiar otworzyć nad składem swoim »salon artystyczny«, w którym lubownicy malarstwa będą mogli nabywać obrazy olejne, akwarelle i rysunki.

\* *N. Kurjer Polski* przestał wychodzić. Redakcja jego przełała wszystkie swoje prawa i zobowiązania na nowy dziennik p. t. *Głos Narodu*, wychodzący pod kierownictwem p. Józefa Rogosza, znanego powieściopisarza i publicysty.

\* Czasopismo literackie *Splitter* pomieściło w doskonałych przekładach niemieckich Dra Alberta Weissa trzy nowelle Zygmunta Sarnieckiego (*»Sielanka«, »Nastka«, »Wróble«*) pod zmienionymi tytułami: *»Auch ein Flötenspieler«, »Nur um ein — Schweinchen«* i *»Künstlerlose«*.

\* Zakład artystyczno-introligatorski Jana Gadowskiego przeniesiony został z ulicy Szpitalnej na Zwierzyniecką, 22.

\* Treść ostatniego zeszytu *Przedświtu* jest następująca: J. Sedlaczkówna: Krwawy listopad. Pieśń grecka. Emilia Platerówna. Ikar: Mała Kronika. Anda: Jan Matejko. S.: Stowarzyszenie kobiet i wystawa krajowa w 1894 r. Wincenty Rapacki (syn): Mój kwiatek. Literatura i sztuka. Grafologia. Rozmaitości. Zagadki i szarady. Insety. W dodatku: Encyklopedia gospodarstwa i przem. domowego i powieść *»Mocą Chrystusa«*.

\* Czasopismo paryskie *Bicyclette* poświęcone sportowi welocypedowemu, o którym niedawno wspominaliśmy na tem miejscu, wydawane jest nakładem Polaka, p. Aleksandra Łuczeńskiego, jednego z dyrektorów agencji Havasa.

\* Księgarnia L. Zwolińskiego i S-ki w Krakowie wydała pierwszy zeszyt *»Spisu rodzin szlachty polskiej«* przez Leona Polaczka.

\* *»Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana«* S. Sikorskiego, dobiegła już do ośmdziesiątego zeszytu, kończącego tom dziesiąty tego pożytecznego i starannie redagowanego wydawnictwa.

\* Zwracamy uwagę na pomieszczony w dzisiejszym numerze *Świata* katalog nowości księgarni nakładowej G. Gebethnera i S-ki w Krakowie.

\* *Roma locuta...* W *Revue des deux mondes* padło słowo wyroczne, sprzeczne z hymnami bezwzględnych uwielbień, które dotąd na ogół gdzieindziej śpiewano, — i *causa finita*. Panowie krytycy — między innymi, a może przede wszystkim i nasi — spostrzegli się nagle, po artykule p. Thorel'a o Brandesie, iż ów »rywal Taine'a«, ów »najgenialniejszy krytyk czasów dzisiejszych«, nie jest bynajmniej tak dalece słońcem plam pozbawionem. Ba, tu i ówdzie podnoszą się już nawet głosy, iż słońcem wogóle nie był. Stosownie do szybkości, z jaką się dzisiaj wczorajsze bożyusza w proch wali, a wczorajsze entuzjazmy na inwektywy zmienia i urągowską, oczekiwać należy, iż wkrótce pisarzowi duńskiemu nawet prawo do tytułu najmniejszej gwiazdki zaprzeczonym zostanie. A wszystko to — z upodobania do patentowanych *articles de Paris* i z czołobitości przed akademicką powagą ceglarnego miesięcznika. Musimy jednak całą polską przynajmniej »szkołę« p. Thorela pozbawić miłego złudzenia, jakoby propagowane przez nią tak zapalczywie poglądy, były jakąś *haute nouveauté*. Przed trzema właśnie laty w epoce płomiennej jeszcze dla autora *»Głównych prądów«* etc. admiracyi, stały współpracownik naszego pisma, Miriam, śmiało, lecz bezstronnie i spokojnie zakwestyonował (w rozprawce: *Poezya Lamartine'a, Świat*, 1890, Nr. 22) słuszność nadawanej Brandesowi nazwy »krytyka«. »Bierzemy ten wyraz w cudzysłów« — motywował w odnośniku swe zdanie — »ponieważ, jakkolwiek utarty aż do oklepania, nie wydaje nam się ścisłym i odpowiednim. Brandes bada w swem pełnem zresztą znakomitych poglądów, choć nie pozbawionem stronniczości dzieło, raczej kierunki filozoficzne, moralne, społeczne, ogólnie cywilizacyjne, aniżeli prądy literackie. Rzecz wypadłoby rozróżniać dokładniej. Że w badaniach swych opiera się głównie na tych odźwiękach, jakie kierunki owe znalazły w literaturze pięknej, że argumenta dla wniosków swych wyłącznie prawie z tejże literatury czerpie, to jeszcze niczego nie dowodzi. Faktem jest częste pomijanie zupełnie właściwych prądów literackich, a w ogóle drugorzędne ich traktowanie. Brandes jest raczej filozofem, moralistą, aniżeli estetykiem i krytykiem literackim. Na dobitkę, w filozofii swej i etyce okazuje się często zbyt jednostronnym fanatykiem, co w połączeniu z wrodzonym mu nastrojem polemicznym wywołuje brak należytego spokoju i wszechstronności w ocenach. To też jego sądy natury krytyczno-estetycznej, obok swej dorywczości, szwankują częstokroć zasadniczo. Jest to wyborny *miles* w toczącej się do dzisiaj walce racjonalizmu z zastarzającymi przesadami i spróchniałymi ruinami przeszłości, bystry i trzeźwy obserwator w dziedzinie przewijającej się kalejdoskopowem pasmem ewolucji społeczno-obyczajowej, ale nigdy znawca piśmiennictwa, jako takich, i sędzia kompetentny w kwestjach estetyczno-literackich.« Uważaliśmy za stosowne zwrócić uwagę na tę — powiedzmy łagodnie — niesamowistość i niekonsekwencję naszych krytyków, w nadziei, że wytknięcie tego poślizgnięcia się posłuży za przestrożę na przyszłość. A przestrożę potrzeba, bo dziś n. p. znajduje u nas panegirystów i adoratorów ekstatycznych taki

już — nie chcemy obrażać Brandesa porównaniem nawet — bezczelny karyerowicz literacki, jak Nordau. Jedno tylko od tego osuwania się pochyłości uchronić może: znajomość dokładna rzeczy, o której się pisze, oraz myśl głębsza, usuwająca potrzebę polegania na sądach cudzych.

#### BIBLIOGRAFIA.

*»Pisma Henryka Sienkiewicza«*. Tom XX. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894.

Tom mieści w sobie następujące utwory: *»Wyrok Zeusa«, »Z wrażeń włoskich«, »Organista z Ponikły«, »U źródła«, »Lux in tenebris lucet«, »Bądź błogosławiona!«, »Pójdźmy za Nim«, »Listy o Zoli«*. Czyż trzeba podnosić wartość tych cennych perełek? Nie, ale należy je czytać, żaden bowiem może z dawniejszych tomów dzieł Sienkiewicza nie odtwarzał równie wiernie wewnętrznego usposobienia znakomitego powieściopisarza w danej chwili jak obecny. Czytając uważnie ten zbiór drobnych, ulotnych utworów jego pióra, zajrzeć można — niby przez szkło powiększające — na dno jego duszy i zbadać ewolucję najświeższą, jaką jego twórczość przechodzi dzisiaj. Zaznaczamy tu w przelocie, że śliczny obrazek, rozpoczynający książkę i noszący nazwę *»Wyrok Zeusa«*, *Świat* pierwszy z wszystkich czasopism polskich w łamach swoich drukował.

*Gamaston. — »Lamparcie życie«*. Opowiadanie ze wspomnień studenckich. — Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszynskiego. 1894.

Autor tego opowiadania dał się poznać przed paru laty, ogłaszając wspomnienia swe z warszawskiego życia studenckiego p. t. *»Fata morgana«*. Obecnie opowiada przygody studentów-Polaków, kształcących się w wyższych szkołach technicznych petersburskich. Bez głębszej analizy charakterów, ale z wiernością aparatu fotograficznego odtwarza on postacie młodych towarzyszy. Dopóki pamięć sama wystarcza — mniej więcej w dwóch trzecich wcale grubej książki — naracya jego płynie wartko, interesuje i świadczy o niezaprzeczonem darze obserwacyjnym. Dopiero kiedy przybywa konieczność zaokrąglenia całości w dzieło sztuki i zakończenia powieści, wyobraźnia twórcza, niewzywana nigdy na pomoc, odmawia swego współudziału, a utwór psuje się zupełnie. Sceny i charaktery tracą kontury i barwy prawdopodobieństwa; budowa nie wzniesiona od razu artystycznie, tylko lepiona z faktów i fakcików, wypacza się, krzywi i rozwała; a styl nawet z żwawego, zręcznego i gładkiego staje się ciężkim, wypłowiałym, pospolitym. Szkoda! *Gamaston* bowiem wydaje się nam materiałem na powieściopisarza, który gdyby chciał myśleć, czuć szczerze i pracować sumiennie, mógłby tworzyć dzieła posiadające literackie i społeczne znaczenie. Dodać tu jeszcze należy, że po przeczytaniu *»Lamparciego życia«*, nasuwają się wcale przykre myśli o moralności młodego pokolenia. Autor maluje nam swego bohatera jako wesołego urwisza, zbyt często postępującego niegodziwie i nikczemnie. Brak zasad etycznych i przekonań wszelkich usprawiedliwia on płochością i lekkomyślnością. Nikt jeszcze młodzieży polskiej (tej nadziei nadziei naszych najserdeczniejszych nadziei) nie przedstawił w tak ujemnem świetle. Mniemamy, że powieściopisarz się myli; nie chcemy wierzyć, aby wszyscy jego koledzy pozbawieni byli zmysłu moralnego, który zwykle najsilniej tętni w sercach młodych, skłonnych do szlachetnych uniesień i porywów uczciwych.

#### NEKROLOGIA.

\* W W. Ks. Poznańskim zmarł *X. Antoni Kantecki*, redaktor *Kurjera Poznańskiego*, znany zaszczytnie mówca, kaznodzieja i publicysta.